

P I O N

Wydane z dubletów
Bibl. Publ. m. st. W-wy

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 1 LUTEGO 1936 R. * NUMER 5 (122)

TREŚĆ: B. SUCHODOLSKI: Trudności szkoły * WŁ. ZAWISTOWSKI: Falszywe przesłanki i bolesne wnioski, II * XENIA ŻYTOMIRSKA: Rudyard Kipling * WŁ. BARTMAŃSKI: Liga Narodów na marginesie sprawy abisyńskiej * H. M. DĄBROWOLSKA: Ta druga * J. PUCIATA-PAWŁOWSKA:



Salon plastyków * M. PIECHAŁ: Genealogia * I. WIENIEWSKI, L. WINNICZUKÓWNA: Świat antyczny * J. MARLICZ: Przekłady * ST. FURMANIK: Muzyka * K. I.: Teatr * W. BĄK: Przegląd prasy * ST. ROGOŹ. KABE: Kronika * Odpowiedzi Redakcji.

TRUDNOŚCI SZKOŁY

W kilku poprzednich artykułach¹, określając zadania i metody polityki kulturalnej w Polsce, staraliśmy się wykazać, jaką doniosłość społeczną i państwową posiada działalność upowszechniająca kulturę, czyniąca z niej realne dobro wielkich mas i siłę, która kształtuje codzienne życie każdego człowieka oraz jego pełny stosunek do rzeczywistości. Jednym z zasadniczych składników tej działalności jest polityka oświatowa. Ale w sprawie konkretnych zagadnień polityki oświatowej w Polsce porozumieć się można tylko na podstawie sformułowania pewnych zasadniczych. Bówiem jak w wielu dziedzinach współczesnego życia, podobnie i w tym zakresie dokonywa się wielka przebudowa; stare zasady nie wytrzymują naporu młodych, dojrzewających przeświadczeń, a dawne metody działania zawodzą w zmienionych warunkach i przy realizacji nowych zadań.

Charakterystyczną cechą dawniejszej polityki oświatowej było przekonanie, iż jedynie szkoła krzewić może oświatę oraz, że czynić to potrafi swą siłą, niezależnie od życiowych warunków jednostek i grup ludzkich. Przekonanie to opierało się na zasadzie, iż oświata jest dobrem intelektualnym, które osiągnąć można przez specjalny rodzaj wysiłków umysłowych, podejmowanych w młodym wieku w specjalnych warunkach. Warunki te istnieją tylko w szkole. W niej bowiem dokonywa się izolacja wychowanka od biejącego życia i zetknięcie z zasobem dóbr odpowiednio wyselekcjonowanych: zaszczerpianych systematycznie. Życie jest chaotyczne i powierzchowne, szkoła zaś wprowadza w krąg rzeczy wartościowych i trwałych. Zarówno intelektualistycznie pojmowane wykształcenie ogólne, jak teoretycznie pojmowane wykształcenie zawodowe, zdobywane być mogły — według tych pojęć — jedynie w murach szkolnych, w zaciszu odosobnienia, w pracy ćwiczącej i przygotowawczej do przyszłego działania, zdala od konkretnych warsztatów pracy zawodowej i od dojrzewającego uczestnictwa w duchowym życiu epoki. Dopiero po zdobyciu tej dyplomowej, szkolnej oświaty wchodziło się w świat, by zająć „stanowisko”, by użytkować owoce trudu szkolnych wysiłków i egzaminów. W tej atmosferze szkoła — niezależnie od rodzaju — stawała się stróżem skarbcza dóbr kulturalnych, lekceważonych w pośpiechu i utylitarystycznym życiu, stawała się wielkim, jedynym i niezastąpionym narzędziem przenoszenia kultury z pokolenia na pokolenie, ostoją tradycji i wykształcenia, nauki i poziomu działalności zawodowej.

Dlatego szkoła otaczana była troską i opieką. Ale kierunek tej opieki był jednostronny. Wynikał z ujmowania szkoły jako rzeczywistości zamkniętej, samostnej i w stosunku do życia nadrzędnej. Uzupełnianie i przekształcanie programów, doskonalenie metod nauczania i wychowania, wyposażenie pracowni szkolnych, polepszanie budownictwa i urządzeń szkolnych, wydłużanie okresu nauki. — oto były główne formy tej opieki. Bez porównania mniej uwagi pochłaniały sprawy z zakresu stosunku szkoły do życia, a więc kwestja społecznej rekrutacji uczniów w różnych typach szkolnych, zaspokajania potrzeb rynku zawodowego i zespalania się z cywilizacyjnymi wymaganiami epoki i państwa. Szkoła wewnątrz swych murów miała doskonalić pracę i spełniać coraz trudniejsze wymagania pedagogicznych postulatów. Podobnie jak wiele innych społeczno-kulturalnych twórców stawała się udziałem królestwem

i nie pozwalala się zamknąć w granicach użytecznego wypełniania funkcji społecznych.

Takie ujęcie szkoły i takie określanie polityki oświatowej musi być dziś podlane rewizji. Bówiem oba zadania, których wypełnienie należało tradycyjnie do szkoły, a mianowicie krzewienie wykształcenia ogólnego i dostarczanie wykształcenia zawodowego, ukazują się dziś w postaci tak zmienionej i tak trudnej, iż tradycyjna instytucja szkoły nie może im podoleć. Widać to przedewszystkiem w dziedzinie kształcenia ogólnego. Pojęcie wykształcenia ogólnego wiąże się nierozdzielnie z ideałem człowieka, panującym w danej epoce, stanowiąc zasób wiadomości i wartościowań, obowiązujących każdego. Można to wykształcenie ogólne przeżyć głębiej lub powierzchowniej, ale zawsze, niezależnie od intensywności, jest ono więzią wspólną, językiem porozumienia między ludźmi, bez względu na ich stanowiska i zawody. Ujmując w ten sposób kształcenie ogólne, jako budowanie człowieka, poczynamy rozumieć dokładniej te różnorodne zmiany, jakie w ciągu wieków zachodziły w teorii kształcenia ogólnego. Były one odpowiednikiem dokonywających się zmian w pojmowaniu ideału człowieka, w nadbudowywaniu sfery „ludzkiej” nad sferą życia fragmentarycznego i zróżnicowanego. Tem się tłumaczy, iż na pytania: czym jest wykształcenie ogólne, co się na nie składa, jak się je osiąga i co świadczy o jego posiadaniu, odpowiedź zdecydowaną i trwałą dawać umiała epoka silnej i ustabilizowanej kultury. W takich epokach szkoła spełnia dobrze rolę krzewicielki tego ogólnego wykształcenia. Inaczej w czasach kulturalnie nieskrystalizowanych. Wtedy wraz z zanikiem wyraźnych dyscyplinujących ideałów i wzorów zatracza się wyrazistość treści wykształcenia ogólnego. W chaotycznym i zmiennym życiu epoki krzyżują się różne siły sprzeczne i wytwarzają różne ośrodki wiary. Szkoła zaś utrzymując wówczas wczorajsze koncepcje kształcenia, traci oparcie i związek z epoką, staje się narzędziem obrony tych wszystkich wartości, które przagnęlibyśmy jakoś zachować. W ten sposób powstaje rozdźwięk między zmiennym i chaotycznym, ale realnym życiem epoki, a trwałą i wartościową, ale umarłą kulturą szkoły. Szkolne wykształcenie ogólne zaczyna swą treścią i strukturą różnić się zasadniczo od tego wykształcenia ogólnego, które ludzie osiągają w wieku dojrzłym, w realnym uczestniczeniu w pracach i dążeniach narodu i epoki.

Rozbieżność ta jest tem większą, im tradycyjnie bogatszą jest kultura. Wówczas bowiem obciążenie szkoły materiałem naukowym jest tak wielkie, iż żaden program i żaden uczeń wytrzymać tego nie może. Konieczną byłaby selekcja znacznie ostrzejsza, niż ta, którą się stosuje. Ale selekcja wymaga kryteriów. Kryterja zaś rodzą się z silnej postawy życiowej, z dumnego zaufania epoki we własną kulturę. Szkoła zaś, z natury rzeczy, żyje poza procesem szukanja i tworzenia tej wiary, odnosi się sceptycznie i nieufnie do wysiłków teraźniejszości. Nie wiedząc zaś z całą żywą pewnością, co jest ważne i wartościowe, staramy się chronić, na wszelki wypadek, wszystko i trudno nam się wyrzec czegokolwiek. W takich warunkach wykształcenie ogólne staje się magazynowaniem encyklopedycznych wiadomości, nie posiada siły budującej człowieka ani zdolnej ostać się w nim po ukończeniu szkoły.

Ten fakt, iż praca szkolna w zakresie kształcenia ogólnego daje przeważnie wy-

niki krótkotrwałe i ważne tylko „egzaminowo”, usprawiedliwia się zazwyczaj teorią kształcenia formalnego. Pocziesza ona, iż choć człowiek dojrzały zapomniał to, czego się uczył i nie korzysta bezpośrednio ze swej dawnej pracy, to jednak wysiłek jego nie poszedł na marne, ponieważ dzięki temu umysł jego wykształcił się i zaprawił do pracy. Ale teoria kształcenia formalnego jest w znacznym stopniu mistyfikacją pedagogiczną i służy jako narzędzie wywalczania miejsca w szkole dla tych wszystkich treści, które straciły siłę żywotną. Niepodobna bowiem zrozumieć, dlaczego należy kształcić formalnie na materiałach obojętnych i nieprzydatnych, a nie na materiałach żywych i ważnych.

W ten sposób względy kulturalno-tradycyjne oraz względy formalne podtrzymują zasadę, iż w szkolnym wykształceniu ogólnym znaleźć się musi miejsce przedewszystkiem dla tego wszystkiego, co było kiedyś wartościowe, a co — według wszelkiego prawdopodobieństwa — byłoby przez ludzi dojrzałych pominięte. Przynajmniej w szkole — powiada się — trzeba poznać to, co już nigdy później nie będzie dla nas przydatne ani ważne, i chociaż za młodych lat zetknąć się z tem, z czem się już nigdy więcej nie spotkamy. Ale skutek tego rozdźwięku między wykształceniem szkolnym a tem wykształceniem, którego się człowiek dorabia w wieku dojrzałym jest ten, iż niepodtrzymywane warunkami życiowymi kształcenie szkolne zamiera, a młodzi ludzie wchodzą w świat, pozbawieni orientacji, i muszą niemal od nowa wyrabiać spojrzenie na życie.

Rozbieżność taka nie może uchodzić za zjawisko normalne. Między zasobem wykształcenia ogólnego, jakim dysponuje inteligentny człowiek dojrzały a tym zasobem, jaki ma posiadać uczeń, nie może zachodzić różnica tak zasadnicza, jak obecnie. Między młodzieżą i ludźmi dojrzałymi zachodzi może na polu wykształcenia ogólnego różnica podobna do tej, jaka w płaszczyźnie zawodowej zachodzi między pracownikami wyższymi rangą i niższymi. Różnica ta polega na tem mianowicie, iż pracownik wyższy rangą umie i potrafi więcej niż niższy, ale zarazem umie i potrafi wykonać to, co robi niższy. Lekarz, choć spełnia pracę trudniejszą niż sanitariusz, winien umieć jego funkcję wypełnić, podobnie jak inżynier musi ogarniać pracę robotnika, a oficer żołnierza. Różnorodność wykształcenia i sprawności w tej dziedzinie można ułożyć w szereg kół koncentrycznych, stopniowo coraz większych. Wszelkie odstępstwa od tego układu są anomalją. Ale właśnie w zakresie wykształcenia ogólnego zachodzi zjawisko wręcz odwrotne. Zestawiając uczniów i ludzi dojrzałych, widzimy, jak zakresy ich wykształcenia krzyżują się, jak dorośli nie ogarniają wcale tej wiedzy, jaka uchodzi za ważną i ogólnokształcącą w szkole. Inteligentny człowiek dojrzały nie złożyłby końcowych egzaminów w szkole ogólnokształcącej i to może nawet w szkole najniższego stopnia. Świadczy to wymownie o tem, iż szkolne kształcenie ogólne zeszło na bezdroża.

Te rozważania przekonują, iż wypełnianie przez szkołę funkcji krzewienia wykształcenia ogólnego zależy od warunków kulturalnych epoki. W czasach kultury skryzalizowanej i trwałej szkoła daje sobie radę sprawnie i wystarczająco. Natomiast w okresach takich jak współczesny, gdy bogactwo materiału kulturalnego jest przytłaczająco wielkie, tempo przemian w poglądach i postawach bardzo szybkie, a styl życia niestabilny, szkoła znajduje się w warunkach bardzo trudnych. Między wy-

kształceniem ogólnym, dostarczanem przez szkołę, a tem wykształceniem ogólnym, które wyrasta w warunkach życiowych, zachodzi poczyna coraz większa rozbieżność, szkodliwa dla obu stron. Potrzebną się staje jakaś reforma zasadnicza, ukazująca możliwość innego, nietylko tradycyjnie szkolnego krzewienia kultury ogólnej.

Ta sytuacja znajduje wyraz również i w zakresie kształcenia zawodowego, które stanowiło oddawną drugą zasadniczą funkcję szkoły. Wiara w wartość szkolnego przygotowywania do zawodu i zaufanie do szkolno-egzaminowego sprawdzania kwalifikacji, opierają się na przekonaniu, że wykształcenie szkolne dostarcza gotowego i trwałego przysposobienia zawodowego, oraz, że to przysposobienie zaspakaja dobrze potrzeby rynku pracy. Tymczasem oba te przekonania tracą dziś słusność.

Przedewszystkiem postęp wiedzy we wszystkich dziedzinach jest tak szybki, iż kwalifikacje szkolne są przestarzałe już w momencie opuszczenia murów szkolnych przez wychowanka. Gdyby poprzestał on na tej umiejętności, byłby ostatnim w swym zawodzie. Potrzeba dokończenia staję się coraz pilniejsza i coraz ważniejsza. Dyskwalifikuje się ten, kto ją zaniedbał. Tem się tłumaczy, iż kwalifikacje szkolne mają tem większe znaczenie, im bardziej ustabilizowana jest cywilizacja. W okresie takim, jak nasz, w epoce cywilizacji zmiennej, sztywnej i niezmienny zapas umiejętności zdobyty w szkole przestaje być kapitałem, od którego wygodnie czerpać można procent przez całe życie. Prawdziwa kwalifikacja zawodowa — wbrew wszelkim ambicjom szkolnym — dokonywa się w toku wykonywania zawodu i decyduje o niej nietyle zdobyta w szkole wiedza, ile energia człowieka, siła samokształcenia, umiejętność pogłębiania i rozszerzania swej wiedzy i sprawności.

W tych nowych warunkach cywilizacyjnych chwileje się również i druga zasada mity szkolnego: iż szkoła dostarcza wykształcenia, odpowiadającego zapotrzebowaniom konkretnego życia. Coraz jaskrawiej widzimy rozbieżność między różnorodnymi rodzajami zawodów i sztywnymi schematami szkolnego kształcenia zawodowego. Na różnych stopniach szkolnictwa, aż do uniwersytetów i politechnik, obserwujemy, jak skomplikowane, różnorodne i zmienne zapotrzebowania konkretnego życia nie mogą znaleźć odpowiedniego zaspokojenia w przygotowawczej pracy szkolnej. Ale jeszcze bardziej tragiczna jest niewspółmierność w tych zakresach, w których kierunek kształcenia szkolnego zasadniczo odpowiada potrzebom zawodowym. Polega ona na tem, iż zasób i struktura otrzymanego wykształcenia różnią się zasadniczo od rodzaju i struktury tej wiedzy, która potrzebna i użyteczna jest w działaniu zawodowym. Młody lekarz i prawnik, młody inżynier i nauczyciel, wychodzący ze szkoły z dyplomem w ręku, muszą, wstępując w próg swego warsztatu pracy, dokonać zasadniczego przegrupowania i uzupełnienia wiedzy, jaką posiadli. Ogromne partie materiału, wyuczonego z trudem do egzaminów, okazują się zupełnie zbędne, jednocześnie zaś coraz jaskrawiej ukazują się wielkie luki, czekające na zapalenie. Tok nauczania okazuje się zupełnie inny niż tok pracy. Zmieniają się zależności, przesuwają akcenty ważności. Dopiero w toku pracy zawodowej organizuje się powoli w umyśle człowieka nowy układ wiedzy, używej, potrzebnej i działającej, układ zupełnie inny niż wyuczony w szkole, przed laty. Ten rozdźwięk między realnymi wymaganiami działalności zawodowej a wymaga-

¹ Pion z 16. XI, 30. XI, 14. XII. 1935.

niami szkoły staje się tem większy, im bardziej narasta naukowo-szkolna tradycja, im bardziej usamodzielniają się dyscypliny wiedzy o zastosowaniu praktycznym. Rozdział taki jest wyrazem zasadniczej różnicy, coraz tragiczniej przeżywanej przez kulturę europejską, a zachodzącej między praktyką działania, wymagającą ustosunkowywania się do konkretnych faktów, a teorią naukową, operującą zawsze tylko sztucznie wyabstrahowanymi elementami. Dlatego też kształcenie zawodowe, dokonywane jedynie w szkole, traci kontakt z życiem. Młody nauczyciel — aby użyć tego przykładu najbliższego nam wszystkim, ale reprezentatywnego dla każdej dziedziny zawodowej — który w szkole opanował doskonale naukowy kurs pedagogiki, psychologii i historii wychowania oraz wiele innych dyscyplin naukowych, staje bezradny wobec faktów konkretnych. Są one bowiem całostkowym i żywym zespołem elementów i dla wyrozumienia któregośkolwiek z nich musi on przeorganizować zupełnie cały zapas wiedzy, zdobyty w szkole w formie logicznej i metodycznie doskonałej.

Ponieważ wiedza, narastająca nad praktyką działania, różni się dziś w każdej dziedzinie zawodowej coraz bardziej od tej wiedzy teoretycznej, która miała do niej przygotowywać bezpośrednio, a która usamodzielniała się niemal całkowicie, — dlatego coraz większe znaczenie w kształceniu zawodowym zaczyna zyskiwać sobie umiejętność organizowania terminatorstwa. Dostarcza ono wiedzy żywej i użytecznej, oraz posiada wartość i dlatego również, iż w toku wypełniania czynności zawodowych człowiek zyskuje głębszą potrzebę posiadania wiedzy i lepsze jej wyrozumienie, niż wówczas, gdy uczy się jej „na zapas“ i „na wyrost“. Tem się tłumaczy, iż poziom i intensywność pracy w takich instytucjach, w których dokształcają się ludzie, pełniący już określony zawód, jest znacznie lepszy od poziomu szkół przygotowujących nowicjuszy.

Terminatorstwo, dokształcanie i samokształcenie poczynają dziś określać ważniejsze etapy pracy nad przysposobieniem zawodowym, niż przygotowanie szkolne, zakończone egzaminami i dyplomem.

Do tych trudności szkolnej pracy w zakresie kształcenia ogólnego i zawodowego przyłączyły się wreszcie trudności w dziedzinie wychowawczej. Powstały one — nie jest to paradoks — z rozkwitu badań pedagogicznych. Wielki rozwój nauk o wychowaniu odsłonił rozległe horyzonty pracy wychowawczej. To, co dawniej wydawało się czynnością prostą, nabrało obecnie charakteru działania bardzo złożonego. Nauczanie, które od wieków było głównym, a często niemal wyłącznym zadaniem szkoły, jest — w świetle współczesnej dydaktyki — procesem kształcenia, obejmującym całego człowieka. Stąd niebawem i nieznane dotychczas rozszerzenie zakresu pracy i odpowiedzialności szkoły. Przygotowanie do studiów wyższych i danie wykształcenia ogólnego, wyrobienie zasadniczych sprawności intelektualnych, zespolenie z kulturą narodu, wychowanie religijne i państwowe, wychowanie społeczne i estetyczne, troska o rozwój fizyczny i wyrobienie sportowe, opieka lekarska i psychologiczna, uzgodnienie pracy wychowawczej z domem i środowiskiem, wprowadzenie w teraźniejszość i zespolenie z tradycją, troska o czystość i higienę, o karność i wyrobienie społeczne — oto jest długa a wcale niekompletna lista zadań i obowiązków szkoły, rozrosłych tak potężnie pod wpływem pogłębionych pojęć o działalności nauczającej. Dzięki temu szkoła miała się odrodzić, stać się żywą i twórczą, coraz lepiej kształcącą.

Ale po okresie radosnego i entuzjastycznego przejmowania przez szkołę tych coraz to nowych zobowiązań przychodzi dziś okres uświadomienia, iż szkoła nie może naprawdę i bez błędów podać im wszystkim i że to, co miało być pogłębieniem pracy, staje się czynnikiem jej dezorganizacji. Nietylko bowiem ogarnąć i wykonać nie może ich nauczyciel, którego siły fizyczne nie są nieograniczone, a kwalifikacje i zdolności nie mogą być wszechstronne, ale poprostu tradycyjna instytucja szkolna, której typ ustalił się przed kilku wiekami w innych warunkach i dla pełnienia innych zadań, nie może, bez przeprowadzenia jakiejś wręcz zasadniczej przebudowy, znaleźć właściwych metod i wytworzyć właściwej atmosfery dla realizowania tak wielu i tak różnych zadań.

Proces tego uświadomienia sobie, iż szkoła, jak każda instytucja społeczno-dziełowa, ma określony swą strukturą zakres działania i że przekraczanie go nie jest trwale możliwe, dokonywa się dziś — trzeba to wyraźnie powiedzieć, choć znowu brzmi to paradoksalnie — pod wpływem rewolucyjnych prądów politycznych. W wielu krajach Europy obserwujemy dziś wzmożoną akcję kształtowania ideologii młodzieży. Doświadczenia z tego zakresu przekonywają, iż szkoła jest narzędziem wychowawczym, które działa powoli i ma zasięg zbyt ograniczony. Lepsza, skuteczniejsza i

szybsza droga prowadzi przez organizację młodzieży. Dzięki tym doświadczeniom poczynają się charakterystyczny proces zdejmowania z bark szkoły wielu tych zadań, które jej rozkwit pedagogiki narzucił.

Te trudności pracy szkolnej, które wi-

dzimy coraz powszechniej i które coraz silniej przejawiają się w rozważaniach pedagogicznych, oraz w narzekaniach rodziców i uczniów, wymagają zasadniczej odpowiedzi na pytanie: jakie mogą i powinny być w dzisiejszej epoce drogi oświatowej działalności.

BOGDAN SUCHODOLSKI

FAŁSZYWE PRZESŁANKI I BOLESNE WNIOŚKI

(DYSKUSJA Z BOYEM-ZELEŃSKIM W SPRAWIE ORGANIZACJI TEATRALNEJ)

II*

Pragnąc udowodnić, że Tow. Krzew. Kultury Teatralnej jest złą formą zorganizowania życia teatralnego w stolicy i że należy corychlej poszukiwać innej, bardziej doskonałej, nagromadził Boy-Zeleński w trzech artykułach drukowanych w *Kurjerze Porannym* szereg przykładów, mających raczej luźny związek ze sprawą, lecz wytworzących pewną sugestię, jakoby istnienie Towarzystwa, przenikając głęboko w strukturę życia teatralnego, miało dla tego życia skutki zdecydowanie ujemne. Czytelnik tych artykułów, normalny widz teatralny miał wynieść przekonanie, że dobre przedstawienie, dobrzy aktorzy, ciekawe inscenizacje, niskie i przystępne ceny — jednym słowem to wszystko, z czym się publiczność w teatrach Towarzystwa styka bezpośrednio, to nie jest bynajmniej jedynie ważne, że istnieje odrębna kategoria faktów, związanych z powstaniem Towarzystwa, która gdzieś tam w głębi, w niewidocznych dla oka laików podziemiach, podcina właśnie to, co jest herbem Towarzystwa — kulturę teatralną, dobre obyczaje w stosunkach teatralnych, społeczne założenia tej sztuki. Wreszcie — że błędy teatrów Towarzystwa są dla jego struktury charakterystyczne, sukcesy ich natomiast czemś samo przez się zrozumieliem i przypadkiem.

Jakże, ujęta w rysach najbardziej ogólnych, wygląda diagnoza Boya-Zeleńskiego? Otóż Towarzystwo przez połączenie paru teatrów pod jednym zarządem generalnej dyrekcji zmechanizowało twórczość i pozbaвило jej duszy. Powodem tej dotkliwej w sztuce amputacji jest odebranie każdemu poszczególnemu teatrowi oddzielnego dyrektora, z którego osobą łączy Boy-Zeleński bardzo wielkie nadzieje. „Bo dyrektor teatru jest nietylko jednostką organizacyjną — pisze — jest, a przynajmniej powinien być, dosłownie duszą swego teatru, człowiekiem, którego twórczość wyraża się w ten sposób“. To jest generalna przyczyna. Ale są jeszcze inne. Połączenie zespołu paru teatrów w jeden, co pociągnęło za sobą omyłki obsadowe; wywołanie atmosfery, prowadzącej do eksploatacji zastanych wartości i zaniechania nowej myśli twórczej; wreszcie zizolowanie stolicy od dobrego repertuaru współczesnego przez nieumiejętność dobrania rzeczy najlepszych w literaturze światowej. Tych kilka pozycji istotnie wystarczyłoby, aby przekreślić znaczenie Towarzystwa.

Postępowanie dowodowe Boya-Zeleńskiego idzie więc od analizy faktów do uogólnienia, od konstataowania skutków do poszukiwania przyczyn. Metoda prawidłowa i jedynie w tym wypadku możliwa. Każdy z przytoczonych przez Boya faktów niema oczywiście być tym najważniejszym, ma natomiast być niezmiernie charakterystycznym. Może się wam wydawać, zdaje się mówić Boy, że ta czy inna okoliczność jest dość spopolita, ale przypatrzcie się, jak bardzo staje się niezwykła, jeśli spojrzeć na nią od tej a nie innej strony. Wydaje się wam zapewne, że zagadnienie repertuaru letniego jest mniej ważne od repertuaru w pełni sezonu, zaś poziom Teatru Letniego mniej ważną sprawą od poziomu innych teatrów, zwróćcie jednak uwagę, że chodzi przede wszystkim o to, czy dzisiejsza Warszawa jest w dalszym ciągu „dawną Warszawą słomianych wdowców“ i ogródków“, czy też miastem nowoczesnym o „innych potrzebach i obowiązkach“. Odpowiadamy na to chórem: „Warszawa nie jest już tylko miastem słomianych wdowców“ i poczynamy rozumieć, że teatry Towarzystwa nietylko wystawiły tę czy inną niepotrzebną sztukę, ale że zdyskwalifikowały stolicę. Jak długi cień na ścianie w przyściemionym pokoju, wydłużają się w ten sposób i groźnie wyolbrzymiają grzechy instytucji. Ze Boy-Zeleński, ilustrując tę dyskwalifikację, nie wychodzi w swych przykładach poza te dwa najmniej ważne momenty, że nie ucieka się do tej samej metody wyolbrzymiania znaczeń przy omawianiu zasług teatrów Towarzystwa — tego czytelnik zapewne nie zauważył, krytyk z

tego braku orientacji przy wyciąganiu wniosków skorzysta.

W artykule poprzednim zatrzymałem się specjalnie nad temi „przykładami“ i „faktami“, które stanowią tło, podłoże, kulisy i atmosferę trzech artykułów Boya. Nie będę już powracał do tej kwestji, niestety jednak i główne tezy krytyki opierają się na dowolności interpretowania faktów i ich ujemnym segregowaniu na ujemne i ważne zarazem, oraz na dodatnie i nieważne. Nic też dziwnego, że i diagnoza nie odznacza się tą wszechstronnością wchodzących tu w grę motywów, jakiej należałoby oczekiwać po tak świetnie zorientowanym w zagadnieniu teatralnym pisarzu, jak Boy-Zeleński.

Boy-Zeleński raz jeden pracował w teatrze i wówczas mógł zbliska obserwować jego strukturę — było to w warszawskim Teatrze Polskim, którego dyrektorem był Arnold Szyfman. Jeżeli więc przywiązuje tak wielką wagę do osoby dyrektora, i to do dyrektora, który zawsze prowadził przynajmniej dwa teatry (czasem trzy, był zaś nawet taki okres, że prócz warszawskich prowadził jednocześnie jeden z teatrów pozawarszawskich), jeżeli jemu oddaje pieczęć do duszy teatru, jemu przypisuje najbardziej istotną twórczość teatralną, to jest to akt uznania dla osobistych zalet kierowniczych dzisiejszego dyrektora teatrów Towarzystwa zupełnie wyjątkowy. Pozwalamy sobie jednak wątpić, czy uogólniając zalety jednostki, dotarł Boy-Zeleński do poznania istoty sprawy. Teatr współczesny jest przede wszystkim teatrem reżysera-inscenizatora. Można oczywiście hawić się w zgadywanie, czy jest to teatr aktora, czy malarza, czy jakiegokolwiek innego czynnika, ale życie przesądziło ten spór oddawna, przysądżając inscenizatorowi, jako centralnej postaci tworzącego się przedstawienia, miejsce naczelne. On to, przy pomocy szeregu czynników zarówno przygotowawczych, jak realizatorskich, może zdecydować, co w teatrze ma życie, a co go nie ma, co natchnąć można nowym duchem, a czego niepodobna wyrwać z szablonu. To stanowisko inscenizatora sprawiło, że pojawił się cały zastęp ludzi o specjalnym nastawieniu i specjalnych kwalifikacjach, na miarę dotychczas spotykaną u bardzo nielicznych i najbardziej wybitnych jednostek. Stosunkowo wysokie kwalifikacje literackie tych ludzi, znakomita i precyzyjna technika reżyserska, a co najważniejsze, szczególnie typ uzdolnień artystycznych, polegających właśnie na twórczym przetwarzaniu wchodzących w skład przedstawienia elementów — oto niewątpliwy wskaźnik, kto w wielorakiej rodzinie teatralnej ma największe dane na odegranie pięknej roli wodza. Przeciż najbardziej indywidualnymi teatrami u nas były teatry Schillera i Osterwy, a teatr Jaracza jest wprawdzie teatrem, w którym Jaracz występował, ale przede wszystkim jest teatrem Perzanowskiej, która wyciska na nim piętno swej indywidualności. Zaś teatr Szyfmana był znakomicie prowadzonym teatrem eklektycznym, którego poszczególne okresy odpowiadały ściśle tym wybitnym inscenizatorom, którzy przez jego scenę przeszli. Że zaś przeszli prawie wszyscy, że stworzyli na scenie Teatru Polskiego wiele znakomitych przedstawień, to było zasługą Szyfmana i złożyło się na jego znów specyficzną indywidualność.

Jeżeli więc rozwiążemy Towarzystwo i ciśniemy jego pięć teatrów na burzliwe flukty życia, jeżeli ponadto wypłyną one możliwe najszybszemu, unikając różnych niebezpiecznych przypadków, to przypuszczając należy, że na czele tych scen staną właśnie wybitne jednostki z pośród inscenizatorów, że nie urodzą się tu jacyś bliżej nieznanymi dyrektorzy, obdarzeni poczuciem duszy teatru, ale będą to ci sami, z takimi czy innymi zmianami inscenizatorowie, których Towarzystwo zgromadziło pod swoim dachem. Będą oni robić to samo, co robiliż teatry, tylko że z tytułu ich konieczności dyrektorskich godności poniosą ponadto cały ciężar nadzoru nad administracją teatru, czuwania nad jego stroną finansową, zajmowa-

nia się mnóstwem spraw częstokroć błałych, ale związanych z osobą reprezentanta teatru, Czy nie będzie to obciążeniem ich szkodliwym, utrudniającym twórczość artystyczną balastem? Nie wiem, czy Boy-Zeleński miał z tem do czynienia, ale ja widziałem niejednokrotnie, jak męczą się twórcy teatralni w dobrowolnie przyjętych na siebie pętlach prowadzenia imprezy, jak często niezrozumiale nazewnątrz zachwianie się artystyczne teatru jest poprostu wynikiem piętrzących się przed jego dyrektorem trudności natury ogólnej, odrywającej go od czytania egzemplarzy i od prób.

Mógłby natomiast Boy-Zeleński zapytać ze słusnością, czy teatry Towarzystwa są dobrą formą pracy dla reżyserów-inscenizatorów: I tak, i nie. Towarzystwo zapewnia im stosunkowo bardzo długi czas na przygotowanie sztuki, daje poniekąd do wyboru teatr, w którym dany utwór może być najlepiej przygotowany, daje ogromny wpływ na obsadę, wreszcie dużą autonomję w zakresie wyboru samej sztuki, dość bowiem pokaźna ilość reżyserów w tych teatrach pozwala na każdorazowe uzgodnienie, czy dany utwór interesuje inscenizatora. Jednocześnie warsztaty centralne dają do jego dyspozycji dość duże środki materialne w zakresie dekoracji, kostiumów i rekwizytów. Można natomiast zarzucić tym warunkom zbyt krótkodystansowe planowanie repertuaru oraz zbyt mały kontakt inscenizatora w okresie prób z czynnikiem decyzji, co powoduje niejednokrotnie niepotrzebną stratę czasu i energii. I te zarzuty są niemałej wagi — należałoby tu uczynić jak największy wysiłek, aby sytuację poprawić, uciekając się nawet do zmiany wewnętrznej organizacji — nie są to jednak bynajmniej błędy wynikające ze struktury Towarzystwa — popelniały je dawne teatry miejskie, popelniały i popelniają niezmiernie często teatry prywatne.

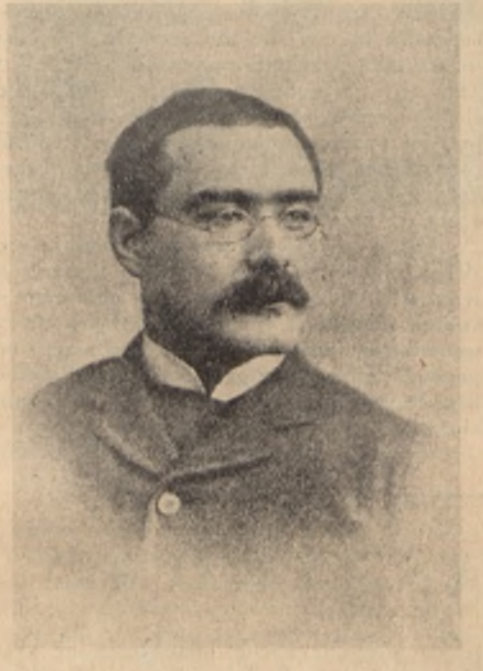
A wyniki sytuacji stworzonej przez Towarzystwo dla wybitnych naszych reżyserów i inscenizatorów? Zapytuję się — gdzie i kto umożliwiłby dziś Schillerowi, wystawienie w ciągu dwu lat, prócz utworów pomniejszych, takich utworów jak *Dziady* Mickiewicza, *Kordjan* Słowackiego, *Sen nocy letniej* i *Król Lear* Szekspira, *Wyzwolenie* Wyspiańskiego, *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, *Kaligula* i *Judasz* Rostrowskiego, *Maszyna piekielna* Cocteau? Proszę sobie przypomnieć, że w dawnych teatrach miejskich i prywatnych takie pozycje pojawiały się po jednej na sezon, a takich sukcesów artystycznych pełnej krwi, jak *Dziady*, *Kordjan* i *Sen nocy letniej* nie bywało czasami po lat parę.

Zarzut wywołania atmosfery teatralnej, zrzucony na głowę Towarzystwa z su-pozycją, że to jego struktura organizacyjna jest temu winna, należy do szczególnie wielkich dowolności. Boy wie doskonale, że uaktywnienie atmosfery w teatrze aż do erupcji rzeczy niezwykłych dokonywa się zwykle na terenie pewnego odcinka czasowego niezależnie od tej czy innej formy organizacyjnej, często nawet w warunkach organizacyjnych wyraźnie wadliwych. W powojennej Polsce przeżyliśmy takie momenty parokrotnie wśród najbardziej różnych okoliczności: w prowadzonym przez miasto Teatrze im. Bogusławskiego przedwzrostkiem, w pierwszych latach magistrackiej również Reduty, w jednym czy dwu sezonach Ate-neum, w tym czy innym sezonie Teatru Polskiego. Nie będąc się spierał, czy działalność poszczególnych indywidualności na scenach Towarzystwa nie należy do momentów istotnie twórczych w polskim teatrze — gdyby nawet tak nie było, należy jednak zapisać na dobro Towarzystwa cały szereg posunięć, jak ryzykowanie takich niepopularnych utworów jak Cocteau, lub umożliwienie debiutu tak ciekawej i nieskoordynowanej indywidualności jak Choromański, jak zapraszanie dekoratorów najroźniejszych charakteru, nietylko „młodego profesora“ Daszewskiego, ale również młodych uczniów, jak Ujejski, Roszkowska, Cegielski, Karwowska; jak wciąganie w orbitę pracy w teatrach Towarzystwa uczniów wydziału reżyserskiego Państw. Instytutu Szt. Teatr. i szerokie otwarcie drzwi dla aktorów młodego pokolenia.

Najmniej uchwytny jest zarzut dotyczący błędów obsadowych, będących jakoby wynikiem połączenia zespołu aktorskiego w jeden. Rzecz prosta, że ideałem byłyby zespoły odrębne dla każdego teatru i uposażone w pełną ilość potrzebnych *emplois* aktorskich. Ponieważ jednak na to żaden teatr w Polsce nie może sobie dziś pozwolić, ponieważ sprzeczności pomiędzy posiadaną obsadą a repertuarem występowały zawsze i wszędzie nawet za czasów zespołów o wiele zasobniejszych, przeto owa przysłowiowa aktorka, wolna w danej chwili i dlatego obsadzona w tej roli, w teatrach Towarzystwa może się przytrafić w jednym na pięć teatrów, gdy zazwyczaj przytrafia się w każdym teatrze. Naturalnie Boy-Zeleński odpowie na to uogólnieniem, że nigdy jeszcze nie bywało tak nietrafnych obsad, jak teraz — ale wynika to ze zbyt krótkiej pamięci recenzenta. Długi i pięknie wydany szereg to-

* Por. poprzedni numer *Pionu*.

RUDYARD KIPLING



Zmarły niedawno wielki pisarz angielski Rudyard Kipling urodził się 30 grudnia 1865 r. w Bombaju i, podobnie jak Kim, spędził wczesne dzieciństwo w sercu Indji.

Jak on, przeciskał się przez barwny, hałaśliwy tłum tubylców na rynku, chodząc drogą okrytą białym od słońca lotnym kurzem, oglądał brązowych bogów i bożków — może nie sam jeden, prawdopodobnie z jakimś białym ubranym, uniezione grzeszonym służącym, który zabierał ze sobą na swe wędrowki po mieście małego Sahiba. Jak Kim, oglądał dzieła starodawnnej sztuki Wschodu w „Domu Cudów” — muzeum w Lahore; oprowadzał go po salach poważny pan, „Strażnik obrazów” — ojciec jego, Mr. Kipling Senior, kustosz muzeum.

Jak Stalky (*Stalky & Co.*, 1899) i jego weseli kolezdy przez pięć lat — do 16-go roku życia — grał w piłkę, płał uczniowskie figle, biegł po chłodnych zielonych łąkach, otaczających The United Service College, Westward Ho, — typową angielską szkołę, gdzie około dwustu chłopców, przeważnie synów urzędników i oficerów, pracujących w Indjach, pobierało nauki książkowe — i — zasady, idee, poglądy typowych Anglików. A więc — poczucie *sportsmanship*, *fair-play*, *play for the team*; nabierano szacunku dla pracy zespołowej, poczucia obowiązku i przekonania, że spełnić ten obowiązek należy bez względu na trudności i bez myśli o nagrodzie; uczono się wytrwałości panowania nad sobą, posłuszeństwa dla prawa; rozwijano poczucie godności i odpowiedzialności.

Z tej szkoły, po jej ukończeniu w 1882 r. Kipling znów powrócił do Indji, gdzie poświęcił się pracy dziennikarskiej.

Poświęcił się. To słowo nie było tu tylko synonimem „obrona zawodu” — tu naprawdę chodziło o poświęcenie się pracy żmudnej i często niewdzięcznej, prowadzonej w warunkach dziwnych, a conajmniej niecodziennych.

Młody — bo zaledwie 17-letni Kipling — oraz naczelny redaktor byli jedynymi białymi ludźmi, którzy na czele stu kilkudziesięciu tubylców prowadzili niewielkie pismo, *The Civil and Military Gazette* w Lahore. Nocna praca, oszałamiający upał, poczucie odpowiedzialności — od razu wprowadzili Kiplinga, — którego dotychczasowe doświadczenie dziennikarskie polegało na prowadzeniu gazetki szkolnej w Westward Ho, — w atmosferę pracy każdego urzędnika, oficera, każdego Anglika w Indjach. Ci ludzie naprawdę odczuwali „to brzemie, które dźwiga biały człowiek” — jak to później określił Kipling w jednym ze swych najbardziej znanych wierszy. Życie wśród milionowych rzesz ludzi o odrębnej psychice i kulturze, zawsze w stanie walk religijnych, gnębionych przez klęski posuchy, nieurodzaju, chorób, ludzi, wobec których miało się reprezentować ład, prawo, cywilizację — takie życie nakładało obowiązki nieraz ponad siły, obowiązki, które od razu wystawiały na próbę przywiezione z Anglii zasady i cechy postępowania. Tak zrozumiane obowiązki białego człowieka miały być właśnie wyrazem idei imperjalizmu, która włożyła swe piętno na całe twórczości Kiplinga.

Jako dziennikarz dużo podróżuje. Poznaje Indję, Japonię, Chinę, Afrykę, Amerykę, Australję. Poznaje „tę wielką rodzinę” — cały świat ludzi, którzy mówią po angielsku, tych, co wywodzą się z rasy angielskiej, choć nieraz — najczęściej — zapomnieli już, że kiedyś byli Anglikami — poznaje te „Siedem mórz”, którym poświęcił tom poezji w 1896 r. i te „Pięć Narodów” — mieszkauców Anglii, Nowej Ze-

landji, Afryki Południowej, Kanady i Australji — o których wyda tom nowel tej nazwy w r. 1903.

Narazie — w 1888 r. — może się wykażać tomikiem wierszy i pięcioma zbiorami nowel, przeważnie drukowanych poprzednio w *Pioneer* — poważniejszym piśmie, wychodzącym w Allahabad (Indje), — którego był korespondentem — i w już wspomnianej *Gazette* z Lahore. Może także poszczycić się coraz większym zainteresowaniem, z jakim czytająca publiczność angielska wita jego nowele.

Te utwory — więcej niż nowele późniejsze, których ukazało się jeszcze osiem zbiorów — ostatnie *Debts & Credits* w 1926 — są właściwie najwcześniejszym jego tytułem do sławy. One i te — najbardziej znane, tłumaczone na wszystkie języki świata, które zdobyły mu w r. 1907 nagrodę Nobla, — książki o dzieciach i zwierzętach.

Cóż można powiedzieć o *Pucku* (1906), *Takich sobie bajeczkach* (1902), a przede wszystkim o obu *Księgach Dżungli* (1894, 1895)?

Więc chyba przedewszystkiem to, że *Księgi Dżungli* są poematem pisany prozą, pisał je nie ten surowy Kipling-poeta, Kipling-piewca wysiłku i pracy, Kipling w proroczej wizji ostrzegający Anglików przed widmem wojny, której tchnienia nie czują w swej sytej zarozumiałości, a która zmieni ma oblicze świata (wiersz *Armageddon*, 1890), Kipling-patrjota, budzący sumienie uarodu nieustannym przypomnianiem o jego obowiązkach i wadach (*Recessional*)... *Księgi Dżungli* pisał inny Kipling. Ten, który napisał także i *Kima* (1901).

Jest — od tak niedawna: było! — dwu Kiplingów. Ten, który wychował się w Anglii, przejął się ideą jej posłannictwa cywilizacji, stał się w swej twórczości przedstawicielem jej zasad, a także zalet charakteru Anglika; a więc cierpliwości, uczciwości, opanowania, zdrowego rozsądku; i jego wad — a więc: zarozumiałości, egoizmu, powolności w czynach i braku polotu w myśleniu; potomek purytanów, znawca

Biblii, człowiek niezłomnie wierzący w dziesięcioro przykazań, poeta-liryk, który nigdy nie pisał o miłości.

I był ten, który urodził się w Indjach, który wchłonął pamięcią i wyobraźnią cały ten wielobarwny, tajemniczy, gorący świat ludzi, wierzących w „koło żywota, które jest li przemijającym snem, wędrowną cieni śród złudzeń Czasu i Przestrzeni” (*Kim*); ten, który słyszał głos dżungli, znał jej Prawo — burego niedźwiedzia Baloo, który tego Prawa uczył tę przedziwną, odważną, mądrą i potężną w swej fizycznej bezbronności istotę — Człowieka, Mowgli; ten wreszcie, który słyszał śpiew Pucka i nawet... znał dzikiego kota, który chodził własnymi dzikimi drogami. Cała twórczość Kiplinga jest zadziwiająco nierówna. Obok doskonałych, subtelnych i nacechowanych głęboką intuicyjną znajomością życia i psychologii nowel, istnieją rzeczy słabsze, o wadliwej konstrukcji i niewysokim polocie. Poza *Kimem*, który też miejscami bywa nużący, a niewątpliwie byłby zyskał wiele, gdyby akcja była przeprowadzona żywiej a sam utwór był o jakąś trzecią część krótszy, żadna z powieści Kiplinga nie dorównała wartością jego nowelom. Ani fabuła, ani postaci, ani wreszcie umiejętność przeprowadzenia idei, którą autor koniecznie chce przeprowadzić, nie przynoszą rzeczy olśniewających. Ideę przeprowadza on zresztą ciągle — w poezji nawet więcej niż w prozie; sztuka dla sztuki była mu niemal zupełnie obca. A przecież posiada Kipling nadzwyczajną pamięć, pamięć malarza, która notuje i przechowuje niezliczone bogactwo wrażeń, a później, nieraz po latach, wiernie je oddaje na usługi twórczości pisarskiej. Życie i rzeczy widzi Kipling niemal jak człowiek pierwotny, — nie przez mgłę przeczytanych książek i widzianych dzieł sztuki, ani w zbyt ostrem świetle obserwacji naukowych. — lecz takimi, jakimi mu je podają jego zmysły, w naturalnych barwach, w najzwyczajniejszych zestawieniach, nieraz w odpychającej brzydocie.

Tak też Kipling je odtwarza. W słowach prostych i właściwych, w zdaniach przejrzystych i krótkich, w wierszu melodyjnym i dźwięcznym.

XENIA ŻYTMIRSKA

LIGA NARODÓW
NA MARGINESIE SPRAWY ABISYŃSKIEJ

Na odbytym w październiku mityngu niemieckim w Saarbrücken minister spraw wewn. Dr. Frick wyraził pogląd, że Liga Narodów nie służyła nigdy swojemu celowi, który polega na utrzymaniu pokoju i porozumienia między narodami, a nawet przeciwnie jest ona przyczyną i sprawcą nowych wojen.

Niemcy pomawiane są zresztą o tajne knowania przeciw Lidze, jej sankcjonem z okazji obecnej wojny włosko-abisyńskiej i t. d., czemu oficjalnie z energją przeczą, wysuwając hasło neutralności.

Zapewne Niemcy mają swoje racje polityczne ustosunkowywania się do spraw związanych z Ligą ze sceptycyzmem i nieufnością. Niemniej jednak przewidywać trzeba, że mimo wszelkie zastrzeżenia, jakie u nich istnieją, postarają się przy najbliższej odpowiedniej konjunkturze politycznej wrócić do Ligi i współdziałać w jej pracach.

Byłoby to zresztą pożądane, bo zdajmy sobie sprawę z tego, jak się właściwie przedstawia problem Ligi w bezstronnem, niezakłamanem oświetleniu.

Liga była wyrazem ideologii Wielkiego Prezydenta St. Zj. A. P. Wilsona. Z jego inicjatywy powstały normy prawne, ujęte w formę Paktu w I części Traktatu Pokojowego Wersalskiego.

W założeniu swoim miała Liga głównie na celu rozwój współdziałania narodów i zapewnienie im pokoju i bezpieczeństwa. Do tego celu miały służyć takie sposoby, jak zobowiązanie państw zorganizowanych nieuciekania się do wojny, utrzymywanie przez nie j a w n y c h stosunków międzynarodowych, opartych na sprawiedliwości i honorze, przestrzeganie przepisów prawa międzynarodowego i szanowanie zobowiązań traktatowych w stosunkach swoich wzajemnych.

Główne więc cele były polityczne, a środkiem do nich prowadzącym miała być taka organizacja, aby Liga posiadała wysoki autorytet moralny, który mógłby zawazyć na szali wydarzeń politycznych, doprowadzających nieuchronnie do rozgrywki wojennej.

Tak pojęta Liga winna była mieć od początku charakter powszechny i widocznie do tego zmierzała, za czem przemawia jej zasięg pozaeuropejski. To się jednak nie udało. Ironja losu sprawiła, że Stany Zjednoczone nie poparły swego Prezydenta i usunęły się od prac Ligi. Niektóre państwa

wogóle nie wstąpiły do Ligi, niektóre, jak Japonja i Niemcy, Ligę opuściły. Liga nie miała zatem od początku koniecznych znamion uniwersalności, a nadto od początku wytworzyła się w niej przewaga Wielkich Mocarstw, z uszczerbkiem państw średnich i małych. Zda się raczej szkodliwe jest rozszerzenie działalności Ligi również w innych kierunkach i niepoprzenie wyłączanie na działalność polityczną, która była jej głównym i najistotniejszym zadaniem.

Nie zamykamy oczu na te ujemne strony, rozumiemy także, że w Lidze ścierać się muszą częstokroć sprzeczne interesy, że ma zawsze do powiedzenia więcej silniejszy od słabszego, oraz że teren polityczny, jakim jest Liga, obejmuje trudny kompleks zagadnień doniosłych, rozległych i zmagających.

Ale poglądy takie, jakim dał wyraz minister niemiecki, są wyraźnie niesprawiedliwe, bo nie odpowiadają rzeczywistości i mogą rodzić jedynie nieuzasadnione uprzedzenia.

Normy prawa międzynarodowego, uznawane dotychczas za prawa postępowania rządów, nie zdołały zapobiec wojnom napastniczym. Były usiłowania, aby wytworzyć lepsze warunki trwania i rozwoju współpracy międzynarodowej przez powstawanie grup państw, zbudowanych na zasadzie większej jednolitości i równorzędności, jak np. Mała Ententa, składająca się z państw mniej więcej równorzędnych pod względem terytorjalnym i gospodarczym. Ale są to próby, których wyników przewidywać się nie da, a w każdym razie zasięg ich jest bardzo ograniczony.

Impuls do powstania Związku Narodów, jako instytucji stojącej ponad narodami, dało krwawe żniwo Wojny Światowej. Nie chodziło tu o tworzenie nowych zasad współżycia narodów, istniejących już w prawie międzynarodowym, ale o stworzenie areopagu, wyposażonego wysoką siłą moralną. Tę siłę daje mu jego zasięg światowy, jakkolwiek nieuniwersalny, daje mu ją również wyraźne napiętnowanie wojny napastniczej (art. 10 Paktu) i zasada wypowiedziana w art. 11, że wszelka wojna lub groźba wojny dotyczy interesów całego związku, który winien wszelkimi środkami zabezpieczyć pokój.

Przy wspomnianych już niedomaganiach aparatu Ligi, przy ogólnym zamięciu, jaki może powstać wskutek stosowanych repre-

mów teatralnych feljetonów Boya, miałby tu niejedno do powiedzenia. Poprawić obsady w teatrach Towarzystwa można tylko przez powiększenie zespołu kategorii sił wybitnych. Nic słusniejszego jak taki dezyderat. Czy jednak niemożność wypełnienia go jest wynikiem braków organizacyjnych Towarzystwa? Przeciwnie. W granicach posiadanych środków zespół tych teatrów jest wyjątkowo bogaty i świetny, i żadna inna forma organizacyjna nie mogłaby go poprawić.

Wreszcie punkt ostatni, którego słuszność poddałem już w wątpliwość w poprzednim artykule — izolowanie stolicy od wartościowych utworów współczesnej dramaturgji świata. Boy-Zeleński omówił ważną sprawę repertuaru przez eliminowanie pozycyji wartościowych. Cały repertuar retrospektywny wyłączył z działania twierdzeniem, że repertuar retrospektywny umie układać każdy siódmoklasista. Nie wyjaśnił jednak, czy każdy siódmoklasista umie go realizować na scenie, a tak już bywa, że zasługą teatru nie jest wybranie *Dziadów*, ale dobre ich wystawienie. Wyłączył polski repertuar współczesny, składając odpowiedzialność za ten dział na polskich dramaturgów. Pozostał mu repertuar tłumaczony, z którego wyłączył znów utwory literackie. Wreszcie na samem dnie repertuaru rozrywkowego dojrzał znów *Kubusia*. A z samym *Kubusiem* niema istotnie życia — dla teatrów Towarzystwa.

Gdyby Boy-Zeleński tylko ubolewał nad wątpliwością repertuaru tłumaczonego, miałby aż nadto racji. Mógłby z tego powodu złożyć kierownictwu literackiemu wyrazy ubolewania i współczucia, że musi czytać setki utworów, znajdując tak niewiele. Ale Boy-Zeleński zdaje się suponować istnienie rzeczy dobrych, na których teatry Towarzystwa nie umieją się poznać. Czy nie należałoby sprawdzić tej tezy? Nie proponuję p. Boyowi, żeby poniósł trud czytania całej produkcji dramatopisarskiej świata — istnieje jednak środek prosty i łatwy: prasa, która informuje o repertuarze największych teatrów europejskich, posiadających najlepszych dyrektorów i najkompetentniejsze kierownictwo literackie. Pozatem Boy bywa sam w stolicach świata, rozmawia często z literatami, którzy stamtąd przyjeżdżają. Wie, co się gra na szerokim świecie. Czemu nie przytoczy kilku przykładów karygodnego pominięcia? Czyżby wiedział, iż niewiele więcej można znaleźć, niż znalazł? Czemu w takim razie ryzykuje uogólnienia, które nie dadzą się utrzymać?

W dziedzinie repertuaru każdy teatr w każdym okresie ściąga najwięcej zarzutów i uwag. W repertuarze kryje się dusza teatru, jego oblicze, jego ideowość. Teatry Towarzystwa dalekie są od doskonałości w tej dziedzinie, popełniają, jak wszystkie teatry świata, liczne błędy (współ z najlepszymi, skoro nie byle jaki, bo paryski teatr Pitoje-wa, powtórzył niedawno błąd Teatru Letniego), popełniają jeszcze często i ten błąd dodatkowy, że, mogąc silnie uwydatnić indywidualność poszczególnych teatrów, czasami indywidualność tę zacierają — ale znów nie jest to wynik organizacji Towarzystwa, ale częstokroć błędy mimo zalet tej organizacji. A przecież Boy-Zeleński nie mówi w swych feljetonach o błędach, które trzeba naprawić, tylko o błędach charakterystycznych dla samej struktury, którą stara się zwalczyć.

Jak co roku, Towarzystwo zastanawiać się będzie na wiosnę nad swą przyszłoroczną działalnością. Zada sobie pytanie, jak poprawić i usprawnić organizację, jak ulepszyć warunki, w których tworzyć mają artyści. W tym okresie, zwłaszcza przy zupełnym braku uprzedzeń i przy szczerzej chęci wyzyskania dotychczasowych doświadczeń, skorzystałoby chętnie z wyników dyskusji prowadzonej przez pióra poważne i przeniknięte troską o wspólne społeczne i artystyczne dobro. Boy-Zeleński ma wyjątkowo dane, aby tę rolę odegrać. Aż żal więc bierze, że zamiast wyzyskać tę świętą pozycję, zamiast poinformowawszy się u źródła, przeprowadzić analizę wchodzących tu w grę elementów i dojść do szeregu wniosków, któreby z pewnością były przyjęte przez Towarzystwo jako materiał wyjątkowo cenny, dał się uwieść rozpanoszonej w tej dziedzinie plotce oraz nieżyczliwym sugestjom różnych malkontentów i, żyrując je swem nazwiskiem, uszkodził jeszcze ich działalność.

Jeśli bowiem się mówi o wyjałowieniu atmosfery teatralnej w latach ostatnich, to przedewszystkiem należy mówić o jej wyjałowieniu w opinji: utyskiwanie na teatry Towarzystwa stało się już dziś manierą, która obowiązuje, jak krój ubrania czy zwyczaje towarzyskie. Ale właśnie Boy-Zeleński przyzywał nas do tego, że w żadnej przecież dziedzinie nie ulega szabloności i manierze myślenia.

WŁ. ZAWISTOWSKI

¹ Tytuł audyeyi dla Anglii i Dominjów, poprzedzonej przemówieniem króla Jerzego V-go w Wigilję Bożego Narodzenia 1935.

syj, w związku z tocząca się wojną włosko-abisyńską, uderzył cały świat cywilizowany fakt, że prawie wszystkie państwa zostały zmobilizowane w obronie strony napadniętej przeciw napastniczce. To przekleństwo Ligi, to bezwzględne i solidarne zastosowanie martwego zdaloby się przepisu art. 16 Paktu zrobiło imponujące wrażenie i zmuszało do ukorzenia się przed majestatem Związku Narodów.

Ostatnie wydarzenia polityczne w związku ze wspomnianą wojną zmieniły pierwotne nastroje. Zapytać się godzi, czy nastroje te są słuszne.

Wiemy, że dotychczasowe wysiłki zakończenia pokojowego owego zatargu wojennego nie odniosły skutku. Anglja żąda od innych państw ligowych bezwzględnej i stanowczej gwarancji, że przyjdą jej z pomocą orężną, gdyby stosowane przez Ligę Narodów sankcje doprowadzić miały do rozszerzenia terenu wojny włosko-abisyńskiej na Europę. Anglja chce mieć absolutną pewność, czy ewentualnie poprą ją inni członkowie Ligi. Były minister jej spraw zagr. Hoare wyraźnie stwierdził z ubolewaniem, że ze wszystkich państw ligowych tylko Anglja poczyniła przygotowania na wypadek wojny, a premier angielski Baldwin z naciskiem podniósł, że fundamentem Paktu Ligi jest kolektywność wszelkiej jej akcji i tej zasadzie jest Anglja dotychczas bezwzględnie wierna.

Prasa zagraniczna odzwierciadla nowe nastroje wobec Ligi Narodów w sposób raczej minorowy. Czyta się takie wynurzenia, że szerokie masy były dotąd karmione oderwanymi hasłami i że w zetknięciu się z szarą rzeczywistością rozsypały się one, jak domki z kart. Ze dopóki sankcje były łagodne, wszystko szło gładko i panowała najlepsza harmonja, skoro jednak procedura Ligi grozi zastosowaniem ostrzejszych środków represji i mogłoby powstać niebezpieczeństwo rozszerzenia się wojny, dotychczasowa idylla doznała nagle dramatycznego wstrząsu. Głosy tej prasy, idą nawet tak daleko, że przyjmują moralę całej tej sprawy w konflikcie między słowem a czynem politycznym, między idealizmem hasel działających na szerokie masy, a trudnością ich urzeczywistnienia w świecie, w końcu między wzniesłymi celami Ligi i jej możliwościami, które są bardzo skromne, o ile chodzi o rękomię pokoju powszechnego.

Jakiekolwiek dalibyśmy oświetlenie toczącej się wypadkom i jaki przewidywalibyśmy dalszy przebieg akcji politycznej,

związanej z Ligą na gruncie sprawy abisyńskiej, jedno jest pewne, że stworzony pod naciskiem straszliwych skutków Wielkiej Wojny Związek Narodów nie może zawiesić położonych w nim nadziei.

Chodzi tu nietylko o możliwe śpieszne zakończenie krwawego zatargu o Abisynję przez pokojowe rozwiązanie, ale, co ważniejsze, o ratowanie zasady przyswiecającej Państwu Ligi, że napastnik nie powinien mieć zysków z aktu gwałtu, że raczej powinien być upokorzony i ukarany. Gdyby miało być inaczej, byłaby to bardzo niebezpieczna zachęta dla gwałcicieli pokoju przyszłości.

C cały świat cywilizowany oczekuje z niepokojem odpowiedzi na pytanie, co ma się stać z Ligą, czy istotnie, jak się gdzieś wyrażono, „pękły porcelanowe serwisy genewskie“ i żadna siła nie zdola ich zlepować?

Czy mamy wrócić do dawnych metod konspiracji dyplomatycznej, czy pokój świa-

ta ma dalej zależeć od samowoli poszczególnych państw, które kierują się tylko egoizmem imperjalistycznym?

Nie możemy pozwolić na zawalenie się gmachu Ligi, tej ostoi zborowej bezpieczeństwa ludów. Nie możemy także pozwolić na taką przebudowę postanowień Paktu Ligi, aby naruszona została jego najdonioślejsza zasada, że za pośrednictwem Ligi i pod jej auspicjami musi się znaleźć sposób rozwiązania honorowego i sprawiedliwego każdego zatargu międzynarodowego, sprzecznego z zasadami Paktu.

Można sobie wyobrazić, jak wielkie groziłyby niebezpieczeństwa światu wstrząśniętemu wieloletnim kryzysem i osłabieniem w swoich spoidlach socjalnych, gdyby na te pytania nie znalazła się zadowalająca odpowiedź, gdyby idee przyswiecające Paktowi Ligi Narodów uległy naruszeniu i zwłknięciu.

WŁADYSŁAW BARTMAŃSKI



T. CZYZEWSKI

Martwa natura

wijających się w *Chłopach z martwą naturą*, nie można uważać za dodatni, gdyż przykro uderza w nich twardość form, sprawiająca wrażenie ilustracji zakolorowanej, natomiast jedna jeszcze wersja, w ujęciu tego artysty, *Śniadanie na trawie*, wykazuje właściwie mu doskonale skomponowanie obrazu, potraktowanego jak gobelin, o cezanowskim kolorycie. Z dawnych formistów (grupy powstałej w 1917 pod hasłem reakcji przeciw impresjonizmowi) wystawił swe piękne, o wyrafinowanym, złotym tonie z wibrującą fakturą, martwe natury Czyżewski, Andrzej i Zbigniew Pronaszki, Hrynkowski, Winkler, oraz Niesiolowski (*Kawiarnia o kolorach mętnych bez blasku*, który był z obrazów na jego niedawnej wystawie zbiorowej). Realizm oparty na szlachetnych wzorach sztuki holenderskiej, nowoczesnie syntetyzowany, wyraża Wąsowicz w najlepszej ze swych prac na wystawie — *Wiejscy gracze*; pozostałe prace przepojone szmaragdowo-niebieskim, rozbielonym tonem, zyskują ogromnie przy świetle sztucznym. Kompozycja z postacią nagiej kobiety po lewej stronie obrazu jest trochę ciężka i wykazuje zakłócenie równowagi obrazu, natomiast obraz *Nad wodą* jest bardzo dobry, pełen fineznych lekkości. Zbliżone do Wąsowicza podejście (nie on jeden zresztą) wykazuje Gineyko, wyobrażający swych szlachetów w syntetycznym realizmie — śmiałość uderzenia pendzla, intensywność wyrazu plamy osiągnął Menkes w *Bachantce* — jednym z najlepszych obrazów na całej wystawie.

Wyróżniają się też martwe natury Taranczewskiego, w których przedmioty przedstawiane tracą swą konkretną, rozpoznawalną rzeczywistość, stając się zespołem plam i form, interesująco zestawionych.

Zgrupowane w osobnej salce prace modernistów pobudzają niewątpliwie do zastanowienia się nad drogami, którymi

SALON PLASTYKÓW

Po szeregu wystaw, urządzanych przez poszczególne ugrupowania artystyczne w Warszawie i innych miast, obecnie otwarto w I. P. S. „Salon Plastyków“, na który składają się prace członków wszystkich związków zawodowych polskich artystów plastyków (z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Łodzi i Poznania).

Wystawa ta jest interesująca, gdyż daje możność zestawienia prac artystów reprezentujących nie tylko odrębności indywidualne, lecz i odbicie pewnych kierunków przez nich wyznawanych; wzrasta dzięki temu skala porównań, uwypuklają się jasno pewne braki i zalety. Zaczynając od rzeczy zewnętrznych, dodatnio odbija od zwykłych salonów sposób zawieszenia obrazów w sali największej tylko w takiej ilości, aby nie czynić tłoku; szkoda, że nie zastosowano tej zasady do salki najmniejszej, gdzie duże prace wiszą w kilka rzędów, uniemożliwiając obejrzenie ich przez widza.

Przedstawiciele „Zwornika“, „Kapistów“ i „Przymatu“ ukazali swe prace budowane „na kolor“ o wyszukanych nieraz precyzyjnie harmonjach barwnych. Reprezentują oni kierunek neopresjoniizmu, różniący się od impresjonizmu dawnego — bezwalorowym i beświeltnym ujęciem. Świe-

żością odczucia barwy odznaczają się kraj-obrazy i kwiaty Rudzkiej-Cybisowej. Ciekawym dążeniem do odnalezienia pewnych stałych form w zmienności przyrodzonego kwiatu — kwiaty Potworowskiego, portret i kompozycja z aktem Rzepińskiego, martwe natury Cybisa.

Waliszewski próbuje się wylamać ze swych dawnych założeń, skłaniając się do realistycznego traktowania przedmiotu. Rezultatu jednak tych usiłowań, przeja-



W. WĄSOWICZ

Krowy pod drzewami

T A D R U G A

Bardzo zależało mi na tem, żeby nie być niesprawiedliwą, a także nie zdradzić się, że wolę rozmawiać z Martą, niż z innymi. Czy ja ją więcej lubiłam? Nie, raczej czegoś poszukiwałam, czegoś bałam się w niej, a może też rachowałam się z własnym sumieniem. Dlatego też często byłam w jej pobliżu i dokładnie zaznajomiłam się z historją jej życia, z opowiadań nietylko jej, lecz i innych.

Marta nosiła włosy pokornie zaczesane z czoła; były one jasne, nie dające się zapamiętać, oczy miała duże, zato anemiczne wargi pamiętało się długo. Rozsuwały się one szeroko na płaskich zębach i trwały tak jeszcze, chociaż uśmiech już dawno zgasł, tak, że kończył się on jakby skrzywieniem, czy żalnością.

Mówiła Marta jak ktoś, co sobie nie ufa. Było to słuszne, bo nagle porywał ją nurt wymowy, której nie mogła zatrzymać. I stawała się kimś bezradnym wobec siebie tamtej.

Tak też było, gdyśmy się poznały. Zaczęło się od tego, że prosiła mnie o kajet.

— Bo ten już skończyłam.
— Na co ci potrzebne zeszyty?
— Piszę. Ja, ja układam wiersze, drukuję.

— Piszesz wiersze?
— Tak, trochę sama układam, resztę przepisuję z książki, lub przerabiam swojemi słowami.

— Z książki przepisujesz i drukujesz? Chciałam o tem to powiedzieć, ale obecność Marty w tem otoczeniu zahamowała mój śąd.

— Muszę mieć tylko książkę Tetmajera, czy innego poety. Jeżeli dużo z niej czytam, piszę tak samo, jak oni, nie, nawet lepiej. Marta zatrzymała się, jednak nie potrafiła się opanować.

— Napisałam już cztery powieści, — głos jej nabierał żarliwości, — chowam je w nocnej szafce, lub pod siennikiem. w dzień piszę na strychu, o świecie tu, na łóżku, gdy jeżdżę do dentysty, piszę w tramwaju. Ja bez tego nie mogę żyć! A oni mi tu żalują papieru. To jest ze mną wszędzie, — czyniła wyznaczenie już prawie udręki.

— Co? — spytałam.
— To życie inne, coż mi tu warsztaty, praca w ogrodzie. — Wzruszyła ramionami:

— Żebym nauczyła się zarabiać na utrzymanie, — być szwaczką. Ale ja już nie mogę bez tamtego.

Rozległ się dzwonek, przyszły inne dziewczynki, poustawiały się po dwie, ażeby je można było przeliczyć, czy są wszystkie.

Zauważyłam wówczas, że choć na dworze jest biały dzień i upał, tu okna i drzwi są zamknięte. Znów przy modlitwie poobiedniej, która odbywała się na podwórzu, dziewczęta stały obok siebie, trzymając się za ręce, i tak zamykały kolo. Do warsztatów szły przez ogród. Mur go otaczał i sięgał po najwyższe drzewa.

Poszukałam spojrzeniem Marty. Była teraz zupełnie inna, zgaszona, niespodzianie brzydka. Już przy pożegnaniu nie poprosiła mnie o papier. Wyglądała, jak ktoś, co się zaparł własnych słów, wiary.

Okazało się później, że nielstwo było spełnić życzenie Marty.

Nie chodzilo tu o owe zeszyty, lecz o to, kim należało ją uczynić, jakim człowiekiem.

Kierowniczka domu poprawczego wstrzymała moją gotowość i opowiedziała mi dzieje Marty.

Gdy Marta była zupełnie małą, często mówiła jakieś rzeczy nieprawdopodobne. Wstydzona przez dorosłych, godziła się szybko, że to było „na niby“.

Zaznaczyło się to wyraźnie, gdy miała lat sześć. Pewnego dnia zaczęła opowiadać sąsiadce, że urodziła się ślepa i tak, nic nie widząc, miała żyć długo, dopiero od paru miesięcy, odkąd przemieniła się jej rodzice do tego domu, zaczęła widzieć. O swojej chorobie mówiła obszernie. Na dowód pokazywała, jak chodziła. Kazała sobie zawiązywać oczy, a kijem stukając o ziemię, wycozywała grunt. W ciemności zupełnej i z daleka rozpoznawała sprzęty. Ta nowina podniosła ją w oczach sąsiadów, dzieci i uczyniła wyjątkową.

Matka Marty gniewała się na nią, nawet biła za to zmyślone opowiadanie. Marta jednak sama wierzyła, że niegdyś była niewidząca i istotnie posiadała coś z wiedzy ślepych.

Po jakimś czasie Marta i inni zapomnieli o tym fackie i znów wszystko w Marcie przesuwało się na właściwe miejsce. Dopiero w szkole po paru latach pow-

stało zamieszanie. Raz wobec całej klasy oznajmiła ona, że nie jest córką swoich prostych rodziców. Nie mam z nimi nic wspólnego. Urodziła się na okręcie w czasie burzy, ojciec jej był księciem i magnatem, matka piękną cudzoziemką. Ojciec jak bohater zginął razem z kapitanem okrętu, oltępując swoje miejsce kobiecie. Jej matka umarła w szpitalu. Pielęgniarka podrzuciła wówczas Martę położnicy, emigrantce, Polce, której niemowlę właśnie umarło. Powiedziała to Marcie pewna pani, lecz kazała to ukrywać do czasu, kiedy będzie dorosła.

Historja ta miała o tyle prawdopodobieństwa, że Marta rzeczywiście urodziła się w szpitalu, w dzień znanej światu wielkiej katastrofy, w najbliższym porcie od miejsca zatonięcia okrętu.

Martą z powodu tego opowiadania znowu zainteresowała się cała klasa, a ona nagle stała się wzorową uczennicą. Czula się obowiązana być kimś lepszym, jakimś wzorem, wobec cienia tantiych, piękniejszych rodziców, których wybrała dla siebie jej wyobraźnia.

I tak, wciąż nowa nieprawda stawała się wylądowaniem jej pragnień, potrzebą uwznioślenia duszy.

To z płonącego domu wyratować miała dziecko. To znów była jasnowidząca i widywała nad głową człowieka aureolę, która oznaczała jego bliską śmierć.

Raz poraz wzywała się w siebie drugą, zawsze piękniejszą niż była Marta w rzeczywistości. Wspiwała się jak po schodach własnej, zmyślonej prawdy, coraz wyżej, do coraz doskonalszych ról.

Ale ludzie przestawali jej już wierzyć, nawet wówczas, gdy mówiła, że nagle umarła jej ręka. Na dowód pozwałała ją kłóć i krajać szczyrykiem. Wkladala palce w płomień świecy i nic nie czuła. To jednak już nie nawracało malodusznych serc z jej otoczenia. Te jakieś dziwaczne racje, sprzeciwiające się powszechnemu prawu życia, przestały budzić zaufanie.

Ludzie zaczęli stronić od niej. Uczuła się sama.

Wówczas, ta druga w niej, po rozterkach i smutkach znalazła inne dla siebie wyjście. Poszukała słuchaczy uniwersalnych — niemieli mieli zostać nieznanymi czytelnicy. I tak Marta zaczęła pisać.

W kartkach kajetu nikt nie wymagał od niej prawdopodobieństwa, nawet sensu. Tam znajdowała zadośćuczynienie i odwet za rzeczywistość.

Gdy miała piętnaście lat i skończyła szkołę powszechną, umarła jej matka. Marta była wtedy tylko wątłą nieladną dziewczynką. Od całkowicie pospolitego wyglądu bronila ją trochę bladeść twarzy i smutek oczu.

Została sierotą. Wuj oddał ją na naukę do szejcia, aby poszła wślad swojej matki i szywała po domach, jak tamta przez całe życie, bo matka nie mogła zarobić przez wszystkie lata pracy tyle, żeby kupić mąszynę do szejcia.

Marta plakała, targowała się o swoje życie, nie chciała przyjąć takiego losu od Boga. Musiała jednak ustąpić. Nie miałaby co jeść.

Bezsilna i tak zamknięta w konkretności świata, znalazła wyjście w tem, co nahludowywała myślą.

Była jednak tylko małą, głupią dziewczynką. Czy nie miała dość dobrych wzorów, gustu, czy boskiego tehnienia?

Więc w swoich opowiadaniach była kszężniczką, gwałconą przez bolszewików, alledjum, której się materializowały kwiaty, gdzie stapila. Rzekomo też rozmawiała z nimfami, co nie miały stóp, tylko zakręcony rybi ogon. Była też wielokrotnie gwiazdą filmową.

Próbowała czytać swoje utwory, lecz nie chciało jej słuchać. Wymiewana, milkła, pełna wstydu i zniewagi.

Zawiedziona w swych ambicjach, postanowiła nie ograniczać się już do słów. Chciała wielkich czynów. Cóż jednak mogło przynieść życie takie, jak jej?

Dotąd, mając smak bardziej wybredny, gardziła miłością, jaką mogło jej przynieść otoczenie. Nie była wcale zepsuta i z wyższością omijała chłopców. Żaden nie odpowiadał wzorom jej wyobraźni.

Aż raz, kąpiącej się Marcie wydalo się, że tonie. Było to jedno z przywidzeń, w które sama wierzyła. Zaczęła wolać ratunku. Rzucił się jej na pomoc młody chłopiec, pływający niedaleko, porucznik mornarki. W jego mocnych rękach odnalazła Marta nagłe miłość.

Jakże mogła potem piękne chwile zleceć na ziemię, otworzyć między sobą a tym człowiekiem przepaść prawdy?

Nie powiedziała więc, kim jest, zmyśliła nazwisko. Była znakomicie zapowiadająca się powieściopisarką, bawiacą chwilowo u swoich krewnych, właścicieli największego w okolicy majątku. Wiedziona dziwnym instynktem wolała się raczej z ukochanym nie widywać, niż dać się zdemaskować.

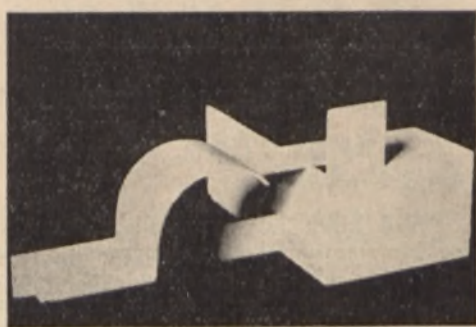
idzie współczesna sztuka. Wyrosły na płaszczyźnie przezwyższenia impresjonizmu — modernizm posiada dziś wielostronne oblicze, przy wspólności ogólnych założeń. Jest niemi w pierwszym rzędzie świadoma i programowa ucieczka od natury, od jej naśladowania, od tradycyjnego ujęcia rzeczywistości widzianej, wzbogacenie jej natomiast jakimś przeżyciami wylaniającymi się z naszej podświadomości, stworzenie „nadrzeczywistości” (surrealizm). Wspólną wszystkim wyznawcom tych teorii jest chęć stworzenia obrazów izolowanych od otoczenia, ważnych same przez się obiektów sztuki, a nie panoramy lub okna otwartego na przypadkowo układający się scenariusz.

Konsekwentny, jakby można się paradoksalnie wyrazić, klasyczny kubizm, reprezentuje Wegner, rozbijając przedmiot przedstawiony na szereg geometryzowanych form (świadomie deformowanych dla osiągnięcia apriorystycznie założonej konstrukcji obrazu; ukazujących stosunki przestrzenne poszczególnych brył do tła i do innych kształtów). Obraz olejny Wegnera przypomina



M. JAREMA

Kompozycja



K. KOBRO

Kompozycja przestrzenna

Picassa. Pewien artysta dal szereg obrazów, zestawianych z kolorowych płaszczyzn o równej wymyślonej fakturze, na zasadzie praw wynikających z obliczenia ciężaru koloru, intensywności jego oddziaływania na widza, łączonych planowo przebiegającą czarną linią.

W tem malarstwie bezprzedmiotowym uderza smak w doborze koloru, spokój i szlachetność w przeciwieństwie do jaskrawo brutalnych zestawień oraz tłoku form u Sterna. Kubistyczno-futurystyczne założenia wykazują interesujące w swym zakresie prace Menkesowej, idące również w kierunku świadomego rozbiecia przedmiotu (postacie ludzkie) za pomocą faktury barwy, z podkreśleniem dynamizmu form.

Rozbijanie przedmiotu na elementy składowe, z których budowany zostaje obraz, przeprowadza również Hiller. Prace jego, nie wytrzymują jednak ani krytyki teoretycznych założeń, ani oku widza nie dostarczają przyjemności, której niewątpliwie, przy odrobinie dobrej woli do szerego atwidzenia własnych stanów psychicznych, doznają nawet wrogowie tych kierunków wobec prac Adlera. Dwa obrazy tego ostatniego malarza przekonywają, jak wiele można wy dobyć z kompozycji bezprzedmiotowej wyrazu, a nawet pewnej formy piękna.

Interesującym eksperymentem są obrazy Blondera, rozbijającego kompozycję na szereg stref horyzontalnych, a łączącego je w całość, dzięki odpowiedniemu rozmieszczeniu zmieniających się w kształcie form.

Chwistek, propagator nowej formy w sztuce, rozciąca przed widzem swe teorie strefizmu przestrzennego, gromadzi wiele scen na obrazie, dając jakby symultaniczny przekrój życia ulicy. Przeciwnie stawia się hasłem unizmu kompozycji, rozbijając ją w

Pochodzie, podkreślając moment ruchu, mijania, unikając zamknięcia form w ramach płaszczyzny obrazu. Obrazy obecne Chwistka są znacznie lepsze od wystawianych uprzednio w I. P. S. Zaniechał artysta przecinających się krzywych, wycinków kół czy elipsy, mistycznych promieni.

Wracając do malarstwa niefiguralnego, trzeba jeszcze wymienić Habna, mającego już w tym zakresie znane imię, oraz w sensie ujemnym „kompozycję” Podsadeckiego (zawieszoną niefortunnie obok dobrze skonstruowanego aktu Łunkiewiczowej). Podsadecki, sugerując wizję czerwonego Rozala, zatrzymuje uwagę widza, całkowicie go dezorientując i obrydzając mu występy modernistyczne wogóle.

Teoretyk modernizmu Strzeziński, zamiast malarstwa abstrakcyjnego, złożonego z barwnych płaszczyzn, wystawił kompozycję zatytułowaną *Pejzaże łódzkie*. Eksperymentuje on tu, doszukując się rytmu w drżących grubych liniach, pnących się nerwowo ku górze, opadających falisto ku horyzontowi, przecinanych niezależnymi od nich, plamami barwnymi.

Rzeźba na wystawie jest również ilustracją różnych kierunków, od realizmu syntetycznego, poprzez impresjonizm i kubizm, aż do abstrakcji. Muszkiet, przedsta-

wiciel rzeźby impresjonistycznej, operuje rwaną, migotliwą fakturą, uwzględniając czynnik światła załamującego się na nierównej powierzchni.

Kubistyczne założenia, rozbijania bryły na poszczególne geometryczne formy, dla spotęgowania jej wyrazu, wykazuje *Głowa Wicińskiego*. *Kompozycje* jego oraz Jaremiński realizują postulaty nowoczesnej rzeźby, zagubiającej przedmiot, a operującej elementami brył wzajemnie się przecinających, i przestrzenią otaczającą, jako czynnikiem składowym. Dzięki temu rzuty osiągnęły wielość widoków i łączność z otoczeniem. Dążenie do zawarcia w rzeźbie stosunków przestrzennych najdobitniej wyraża się w rzeźbach abstrakcyjnych Katarzyny Kobro, wykazującej dużą pomysłowość i stałą chęć czynienia śmiałych doświadczeń.

Zamykając tem nazwiskiem listę wymienionych artystów, zaznaczam, że jeszcze nie jeden obraz i rzeźba odznaczają się poprawnością i budzić mogą zainteresowanie, i że wybieram tylko te, które wydają mi się bardziej charakterystyczne dla pewnych tendencji panujących w naszej sztuce, lub stanowią ważny punkt w indywidualnym rozwoju danego artysty.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

GENEALOGJA

*W milczeniu wiecznej nocy, rozpiętej nad nami,
rozblęta przed wiekami niezbadana iskra.
Z niej poczęły się dzieje, wiatr między gwiazdami,
woda w rzekach, sok w drzewach i krew w żyłach bystra.*

*Odtąd przez setne wieki, przez tysiączne lata
zjawiska rosły w ogrom, w bezmiar się mnożyły.
Płynęła krew żyłami poprzez obraz świata,
a świat krwią się w bezmiary wytaczał przez żyły.*

*Wiem już teraz, o ziemio, tajemnico czarna,
czemu krążysz dzień po dniu, w odwiecznym porządku!
Jak ocean do źródła, roślina do ziarna —
tak koniec wiecznie głodny tęskni do początku.*

MARJAN PIECHAŁ

I tu, jak zawsze, swoje własne kłamstwo zobowiązywało Martę do czegoś, więc z opowiadań przetrwała się naprawdę wtedy do pisania powieści, a zachowaniem, pełnem godności, starała się sprostać wzorom książniczek z filmu.

Porucznik i Marta mieli się spotkać na dłużej podczas zimy w Warszawie. Wówczas, gdy ona będzie tam udawać swoją powieść, a on będzie na wulpiu u rodziców.

Porucznik niedługo wyjechał, lecz pozostał zachowany w miłości Marty.

Już nie potrzebowała zazdrości koleżankom przygód, siebie się wstydzić, że jest nikim. Znalazła zadośćuczynienie w tem, w co wierzyła. Była narzeczoną porucznika, sama u progu sławy powieściopisarki. Co prawda ojciec narzeczonego nie zgadzał się na ten ślub. Jednak oni zwyciężą opór. Wszystko jest przed nimi.

Tymczasem wuj coraz mniej miał serca dla dziwnej Marty. Krawcowe również z niej nie były zadowolone, tak, że ciągle traciła miejsca. Niejednej doznawała obelgi w domu, w pracy. Głodna, poniewierana w życiu, Marta, podręczna w ubogiej pracowni, brała zapłatę za tę przyziemność w zmysłowej wielkości.

Zapewne jednak to drugie życie wyobrażone czyniło ją gorszą w robocie. W małym mieście już nikt nie chciał niemądrej Marty na praktykę do szycia. A ona między skrawkami materiałów, na papierze do pakowania, w każdej chwili, gdy nie było dozoru — pisała. Chowała się nawet do wygodki i tam układała wiersze.

Wuj groził jej, że ją z domu usunie. Sądził, że Marta wieczorem dzieci popilnuje, coś uszyje, a ona wydawała zarobione pieniądze na naftę, na papier i całe noce coś pisała, co napewno nie miało sensu.

— Nie tak łatwo urodzić się Sienkiewiczem — mówił jej, a też, że jest egoistką i nie ma za grosz wdzięczności.

Nic nie mogło złamać uporu Marty, i będąc coraz wyżej w marzeniach, spadała coraz głębiej.

Teraz została już tylko dziewczynką do posług.

W tym też czasie przesłała po raz pierwszy swój wiersz do redakcji. Pochwalili ją tam, dostała słowa zachęty. Uważała, że ten dzień spłaca jej wszystkie męki. Wysłała natychmiast wiersze następne, ale już się nie podobały. Zaczęła przysyłać opowiadania, poematy, — nawet nie odpowiadano. Wówczas wzięła wiersz Konopnickiej, zmieniła

tytuł, dodała inne rymy w pierwszej i ostatniej zwrotce, jedną strofę sama wymyśliła. Podpisała siebie. Teraz była pewna, że wiersz zobaczy w gazecie. Wszystkim opowiadała, jak to w niedzielę będzie wydrukowany jej utwór.

Jednak redakcja odpowiedziała: Nie nadaje się do druku.

Wówczas Marta przesądziła sprawę. Jej wiara w autorytet redakcji, w kryterja wyższe sztuki została zachwiana. Jeżeli nie umieli ocenić tak sławnej już Konopnickiej, coż dziwnego, że się na niej nie poznali, nie warto troszczyć się o ich sąd, — dbać o rzetelność i nie przywłaszczać sobie cudzych utworów. Będzie wielka bez tego sprawdzianu, jakim jest druk.

Żona pewnego inżyniera kupowała stale w magazynie, skąd Marta odnosiła paczki; uważny mąż dbał, żeby żona dawała suite datki tej pannie za odniesienie, wręczał też je sam. Tak, pierwsze drobne sumy zaczęła przyjmować Marta, świadoma ich zamaskowanego celu.

Zwierzyła się inżynierowi, że jest córką estońskiego barona, sierotą u niedobrych krewnych. Ma wielki talent, który przyznawało jej już tylu ludzi. Chce też wyjechać do Warszawy do narzeczonego, który jest komandorem. Błaga, żeby inżynier jej pomógł. On obiecał pomóc, lecz najpierw odmierzył sobie zapłatę. Wielka różnica wieku czyniła, że Marta czuła bezpieczeństwo w towarzystwie opiekuna. Nie zauważywszy prawie tego, została jego kochanką, chociaż przedtem nie należała do porucznika, mimo, że go tak bardzo kochała.

Po paru tygodniach inżynier skwapliwie kupił jej bilet do Warszawy i dał 50 złotych. Tak więc uciekla z domu.

W Warszawie Marta nie zastała porucznika, nie mogła też od razu zdobyć jego adresu. Jednak postanowiła nie obniżyć swoich pragnień. Kupiła czapkę studencką i zaczęła chodzić przygodnie na wykłady do uniwersytetu.

I znowu przed obcymi ludźmi wcielała siebie w coraz inną postać, zawsze lepszą, postawioną ponad przeciętnością tych, co ją otaczali.

Łatwo zawierała przyjaźni. Zaczęło jednak Marcie brakować pieniędzy. Nauczyła się je wydłuzać, lecz coraz częściej chodziła głodna i suknie jej były w strzępach. Pisała ciągle i rozsyłała swoje rękopisy. Na biletach wizytowych kazała sobie wypisać prócz nazwiska: literatka.

Już trochę nauczyła się oddzielać siebie od tematu. Opowiadała zdarzenia, które miały być treścią jej powieści, powieści, która za parę dni pokaże się w księgarniach. Nie zawsze zmyślone przygody musiały być niby przez nią przeżyte, jak podawała to dawniej.

Coraz śmielsza była w plagjatach, kompilacjach, pozbawiona surowej tresury prawdy. Miasto ją kształciło, mniej była naiwna w swojej gładze.

Pewnego dnia przeczytała w odpowiedziach w gazecie, że przozona jest dla omówienia druku jej wiersza.

Marty ubranie było już zniszczone. Poszła więc do znajomej poprosić o pożyczenie płaszcza. Czyż nie był to dość ważny dzień, może najważniejszy w jej życiu?

Służąca niechętnie wpuściła Martę do pokoju pod nieobecność studentki; Marta miała napisać parę słów listu. Na stole obok łóżka leżały dwa pierścionki. Właśnie ktoś zadzwonił, służąca wyszła. Marta wzięła pierścionki i wybiegła przez kuchenne drzwi.

W pobliskim sklepie zażądała płaszcza, kapelusza i sukni.

Przy płaceniu tłumaczyła się, że zapomniała pieniędzy. Poddała zmyślony swój adres u bogatych ludzi, zostawiła pierścionek na zastaw. Tylko że nie mogła ani chwili zwlekać, bo czekali na nią w redakcji. Wymieniła nazwę tygodnika, musza w sklepie znać jej nazwisko, i podała jedno z najslawniejszych. Chyba teraz jej uwierzą.

Gdy już wybiegła, kupowej wszystko to wydało się nie w porządku. Pierścionek nie pokrywał kosztu towaru. Minęło parę godzin, Marta nie przychodziła go wymienić. Nie mieszkała też pod podanym adresem.

Na drugi dzień sklep zaczął jej poszukiwać przez policję.

Tymczasem Marta po raz pierwszy w życiu została dopuszczona do samego redaktora. Już nie w wyobraźni, lecz naprawdę ją chwalił, obiecał wydrukować, gdy przerobi, jej wiersz i zachwycał się jej pięknymi oczami.

Wracała nasycona. To już realnie, nie w wyobraźni jeden z największych literatów z nią rozmawiał, odprowadził do progu, ucałował w rękę. Sława jest już z nią.

Za pierścionek drugi, sprzedany pokątnie handlarce, kupiła bilet pierwszej klasy do tej miejscowości, gdzie mieszkał porucznik. Wysłała również depezę, pierwszą depezę w życiu.

„Przyjeżdżam najdroższy. Twoja na zawsze”.

Jakże się czuła wówczas szczęśliwa! Była w swoim wyobrażeniu wielką pisarką, kochaną narzeczoną, doskonale ubraną damą. Już prawie nie potrzebowała nic udawać, prawie stało się to w istocie.

Ach, jak krótka była ta radość! Już z dworca Marta została zabrana do aresztu, nie zobaczyła nawet porucznika.

Znów spadła z poziomu życia tej drugiej, którą chciała zostać, do siebie właściwej.

Marta nie była jeszcze pełnoletnia, więc zamiast do więzienia oddano ją do domu poprawy.

Tam ją spotkałam, tego upalnego dnia, w mieszkaniu, gdzie drzwi i okna są zawsze szczelnie zamknięte, ubraną w szary mundur zakładu.

Troskliwa opiekunka rozważała ze mną sprawę kajetu.

Nie, nie może pozwolić Marcie pisać tych rzeczy bez wartości, jakby była znowu ślepa i nie rozróżniała, co jest jej, a co cudze.

Czy nie słuszniej wyleczyć ją trzeźwością, nauczyć zarabiać, przyzwyczać do obowiązków i zadowolenia ze swego małego udziału w życiu?

Dlatego proszę mnie, żebym nie prowadziła z nią rozmów, które przypominają jej dawne nalogi, i nie przynosiła papieru.

Przyznałam kierownicze domu poprawy słusność. Odchodziłam jednak w poczuciu winy.

Czy nie było mimo wszystko w Marty uporze piękna? Ile tragizmu w powołaniu — bez talentu.

Może Marta była jedną z tych kobiet, dysponowanych do wielkości, do nadzwyczajnych przeznaczeń, do szczytów kariery, co według własnego planu zniewala ją los — i nie starczyło jej na to sił?

Jakąż znaleźć radę na jej duszę, nie tu w zakładzie, lecz gdy znów odnajdzie się w świecie sama? Jak jej pomóc? Będzie dalej kraść — czy dojdzie do swoich pragnień?

Jakże osądzić tak wypaczoną, jednak boską potrzebę — być kimś lepszym, w i e k s z y m n a d s i e b i e s a m a.

Być tą drugą, którą się oberze zamiast swego losu.

HALINA MARJA DĄBROWSKA

ŚWIAT ANTYCZNY

TADEUSZ ZIELIŃSKI: *Świat antyczny*. Cz. III: *Rzeczpospolita rzymska*. — Warszawa 1935. Tow. Wydawnicze w Warszawie.

Dwoma równocześnie cyklami swych dzieł obdarza Tadeusz Zieliński miłośników kultury klasycznej. Wielki cykl, poświęcony *Religijom świata antycznego*, a doprowadzony dotychczas do końca epoki republiki rzymskiej, składa się już teraz z sześciu tomów. Obok niego wychodzą z pracowni uczonego, który zarazem pisarskim swym kunsztem wzbogaca literaturę piękną, uroczę księgi o *Świecie antycznym*: nie są to już — w przeciwstawieniu do pierwszego cyklu — prace ściśle naukowe, ale dzieła, malujące poetyczną legendę i głęboką prawdę historyczną świata grecko-rzymskiego w jego dziejowym rozwoju.

Wydaje się napozór, że obrał tu Zieliński sposób pisania napoleo popularny, nieledwie dla młodzieży. Pasjonująca lektura objawia nam jednak taką głębię spojrzenia historycznego i wspaniałe konstrukcje syntez, tak trafne ujęcia zdarzeń i kapitalne charakterystyki ludzi, do jakich nie przywykliśmy w książkach, przeznaczonych dla szerokich kół niespecjalistów. Wyczuwało się to już doskonale w dwu pierwszych tomach cyklu, obejmujących Grecję od epoki mitycznej aż do upadku niepodległości. A w świecie hellenistycznym obraca się autor ze szczególnym upodobaniem: świat ten jest mu bliższy od rzymskiego ze względu na drogą Zielińskiemu ideę humanitaryzmu, która szczególnie bujnie zakwitła w Grecji, i na fenomenalny geniusz artystyczny, który wydał tam tyle arcydzieł.

A Rzym? Rzym ze swoim imperjalistycznym nacjonalizmem, ze swoją rasową *rusticitas*, tak daleką od greckiego poczucia smaku, czemuż on mógł zdobyć sympatię polskiego humanisty? Owe wojny zaborcze, ów odradzający cynizm w stosunkach międzyludzkich, jaki zapanował w ostatnim stuleciu Rzeczypospolitej, owo wreszcie prostactwo duchowe przeciwnego Rzymianina tej epoki, połączone z zamilowaniem do zbytku — wszystko to zostało w oczach Zielińskiego okupione nieśmiertelną zasługą Rzymu: przekazaniem światu dziedzictwa greckiego. Legjony rzymskie zdobyły Grecję nie tylko dla Rzymu, ale także dla kultury europejskiej, a podobój Galji przez Cezara — sam w sobie antypatyczny — dał jednak podwaliny duchowej potędze Francji, podwaliny grecko-rzymskie. Snobizm zaś prostactwa z nad Tybru, każący mu zachwycać się hellenizmem i szerzyć jego kult, doprowadził w rezultacie do zhellenizowania kultury rzymskiej, co zadecydowało o typie cywilizacji zachodniej aż po dzień dzisiejszy.

Takie refleksje i wnioski nasuwają się przy czytaniu *Rzeczypospolitej rzymskiej*, trzeciego tomu *Świata antycznego*. Prowadzi w nim Zieliński czytelnika od mitycznych pierwocin Rzymu w epoce królewskiej, poprzez zawiązki Rzeczypospolitej, ugruntowanej wśród walk stanowych i uwieńczonej dziełem zjednoczenia Italji w III wieku przed Chr.; przenosi nas na wybrzeża afrykańskie, gdzie wyrasta groźna potęga, mająca wtrząsnąć posiadami imperjum, ale obalona potężnymi ciosami miecza obu Scypionów; w międzyczasie przerzucamy się śladem autora na Wschód zhellenizowany, przede wszystkim do samej Grecji, oczekującej rzymskiego zdobywcy, ale mającej na narzucić swe błogosławione jarzmo kulturalne: ono to uszlachetniło epokę schyłku i upadku republiki, unurzając w morderczych wojnach domowych, ale opromienioną blaskiem kultury duchowej, którą zawdzięczał Rzym Helladzie; aż zatrzymuje nas autor u mety: jest nią posąg Pompejusza, u którego stóp ginie w Idy marcowe 44 roku Juliusz Cezar pod ciosami mścicieli uśmierconej przez niego Rzeczypospolitej.

Jest w historii rzymskiej majestat i wielkość, mistrzowsko wyczarowana piórem Zielińskiego. Pod jej urokiem osłabia się przekonanie, że głównym tytułem chwały Rzymu jest przekazanie potomości kultury greckiej. Ale z drugiej strony jakąż rozkosz odczuwamy, gdy autor przenosi nas od czasu do czasu z dusznej atmosfery rzymskiej w świat grecki, niby do słonecznej oazy ducha. Tembardziej, że gdy się wpływy greckie ostatecznie w Rzymie ugruntowują, t. j. w drugiej połowie II wieku przed Chr., mija już bohatera epoka Romy, na gmachu republiki ukazują się niebezpieczne rysy i pęknięcia, rozpoczyna się okres bezmyślnych okrucieństw i cynicznych metod w życiu państwowym. Dzisiaj z podziwem czytamy, jak w państwie dobrze zorganizowanym orzożyły się całymi latami mordy Marjusza czy Sulli, jak prowincje były przedmiotem prywatnej łupieżkiej eksploatacji namiestników, jak wybory najwyższych urzędników zależały od zasobności kiesy kandydatów, którzy prawie oficjalnie przekupywali wyborców, jak bardzo było skorumpowane sądownictwo. Podziwiamy nędzne metody działania największych ludzi tej epoki, jak Cezar, który dla

dokuczenia Ciceronowi wchodził w porozumienie z osobnikami w rodzaju Clodiusa, a nie był także całkiem obcy poczynaniom Katyliny; lub jak Brutus, który był nie tylko bohatera obrońcą ginącej republiki, ale także — lichwarzem...

Przypisuje się czasem Zielińskiemu brzoźnictwo antyku. Nie wydaje mi się ten zarzut słuszny. Zapewne, byłoby niezgodne z umyslowością wielkiego humanisty przeprowadzić rewizję historyczno-kulturalną à la Boy. Nie cofając się nieraz przed ukazywaniem ujemnych stron świata antycznego, stara się on przede wszystkim o jego pełne zrozumienie; w wypadkach zaś zawiłszych przedstawia fakty i uchyla się od osądu i wartościowania, stosując integralny obiektywizm historyczny. Z tem większym zaciekawieniem czekamy na ostatni tom *Świata antycznego* (*Rzym cesarski*), gdzie rzekome tendencje brzoźnicze Zielińskiego byłyby wystawione na najtrudniejszą próbę.

IGNACY WIENIEWSKI

*

PAPYRI VARSOVIENSES, edidit Georgius Mantouffell, Uniwersytet Warszawski, wydawnictwa Wydziału Humanistycznego. T. I. Warszawa 1935.

Tak wiele pozostawia jeszcze do życzenia nauka polska, tyle jej dziedzin ma jeszcze poważne braki, że każde posunięcie naprzód, każdą nową zdobycz z radością i dumą witać należy. Stwierdzić bowiem braki — jest rzeczą łatwą, uzupełnienie ich natomiast — zwłaszcza w dzisiejszych warunkach — związane jest z poważnymi trudnościami. Na jedną z takich luk w naszej nauce zwraca uwagę prof. K. Michałowski w Nr. 18 (83) *Pionu* wołając, „że czas najwyższy pomyśleć o wykopaliskach polskich w Egipcie“ i wykluczając, jak wielkie znaczenie dla nauki polskiej i jej powagi miałyby zorganizowanie odpowiedniej ekspedycji naukowej. Mówiąc o znaczeniu archeologii, podkreśla ten moment, iż dzięki niej poznano wartość papiirusów, jakie nam piaski egipskie zwracają. Ale w związku z tem musimy stwierdzić, że i w tej tak ważnej gałęzi wiedzy, jaką w kompleksie nauk o świecie starożytnym jest papirologia, udział nauki polskiej we współzawodnictwie międzynarodowym jest dotychczas nieznaczący.

To też nie dziwnego, iż poza specjalistami i zainteresowanymi pracownikami naukowymi, na ogół nie zdajemy sobie sprawy, jak obfitem źródłem cennych wiadomości są fragmenty, szczątki papiirusów, zniszczonych i przez ząb czasu i przez nieumiejętne obchodzenie się z nimi sprzedawców. A przecież dzięki tym szczątkom rozszerza się coraz bardziej widnokrąg wiedzy o świecie starożytnym, nauka zdobywa wiele — niekiedy wprost rewelacyjnych — wiadomości. Dzięki papirologii rozszerza się zakres znajomości literatury greckiej, gdyż obok fragmentów utworów autorów znanych znajduje się rzeczy zupełnie dla nas nowe; wzbogaca się materiał do badań językoznawczych, dokumenty dają wiele nowego materiału z dziedziny prawa i administracji, teologii dają papiirusy możność głębszej interpretacji Księg Nowego Testamentu, a do historii kultury wnoszą wiele szczegółów z życia prywatnego i publicznego starożytnych.

Szerog państw, doceniając znaczenie papirologii jako nauki pomocniczej, zaopatruje swe pracownie naukowe w zbiory papiirusów, otwierają instytuty papirologiczne, zakładają towarzystwa, które mają na celu organizowanie i popieranie studjów papirologicznych. Pierwsze miejsce zajmuje tu Anglja, Ameryka, za niemi idą: Niemcy, Włochy, Francja, Austria, Rosja, Szwajcaria, Belgja, Danja. Polska od szeregu lat interesuje się papirologją, jednak wobec tego, że nie posiadaliśmy własnych zbiorów, uczeni polscy opracowywali jedynie zbiory zagraniczne lub prowadzili prace nad materiałem opublikowanym. Dopiero w latach ostatnich dzięki staraniom prof. Gustawa Przychockiego Uniwersytet Warszawski uzyskał zasilek z Ministerstwa W. R. i O. P., za który zakupiono zbiór papiirusów, dzięki czemu Polska staje w szeregu wyższych wymienionych państw, posiadających własne zbiory, i może wejść w żywszy i bliższy kontakt z ruchem międzynarodowym na tem polu. Jakkolwiek nabycie papiirusów było ważnym momentem dla Uniwersytetu Warszawskiego, jednak samo posiadanie ich nie przyniosłoby wielkich korzyści nauce polskiej, gdyby nie fakt, że U. W. posiada papirologa w osobie docenta Jerzego Mantouffla, który zwięzko przedostaje się przez trudności związane z odczytywaniem papiirusów, wydziera im ich tajemnice, odczytuje je i określa treść. Praca ta znalazła uznanie i zrozumienie u dziekanów Wydziału Humanistycznego U. W. prof. Marcelega Handelsmana i prof. Włodzimierza Antoniewicza i dzięki ich poparciu papiirusy zostały wydane. Teraz dopiero zbiór odzyskał swą istotną wartość, gdyż stał się dla wszystkich dostępny. Książka bowiem — prócz szczegółowego omówienia poszczególnych papiirusów — podaje odnośną literaturę oraz zawiera — w danym wypadku bardzo ważne i cenne — indeksy. Jakkolwiek zbiór warszawski jest skromny, zawiera bowiem zaledwie 49 papiirusów, jednak są wśród nich i fragmenty literackie, i dokumenty i listy. Nie miejsce tutaj na szczegółowe omawianie treści, ale ponieważ papirologja jest nauką bardzo specjalną i zgóry można przewidzieć, że książka omawiana nie znajdzie się w rękach wielu, tem bardziej nie można pominąć milczeniem tego wydawnictwa i należy bodaj w krótkiej notatce poinformować szerszy ogół o postępach i zdobyciach nauki polskiej, której omawiane wydawnictwo przynosi prawdziwą chlubę.

Oprócz zalet rzeczowych podnosi wartość książki wyjątkowo staranna strona zewnętrzna.

LID. WINNICZUKOWNA

PRZEKŁADY

JEŹDZCY DZIKIEGO ZACHODU

G. O. BAXTER. *Pościg*. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój“.

Przed kilku laty niezmiernie modne były filmy cowhojskie, raz poraz więc oglądaliśmy na ekranie gromady jeźdźców w szerokokrzydłych kapeluszach, z wielkimi rewolwerami u pasa, harcujących na pięknych koniach po bezkresnej prerji, lub też chwytających na laso półdzikie bydło. Idylliczne obrazki stanowiły zazwyczaj jedynie wstęp do tragicznych powikłań, gdy nerwowo tentent kopyt grzmiał w pościgu lub ucieczce, gęsto śmigły kule, a wierzchowce o rozwianych grzywach i oszalałych oczach niesły swych panów poprzez morze traw stepowych, i z kocią zręcznością przewijały się krawędzią urwistych przepaści.

Powieść Baxtera wprowadza nas w takie właśnie środowisko. Gdzieś na pograniczu Teksasu, w nędznej miejscinie, mieszka kowal. Kacper Lanning, krzepki starzec o burzliwej przeszłości, a przy nim bratanek — sierota. Ów Andrzej Lanning, właściwy bohater *Pościgu*, jest młodzieńcem niezwyklej siły fizycznej, lecz potulnym i dobrodusznym. Kacper głęboko boleje nad tem, co uważa za hańbę rodu Lanningów. Poświęcił bratanekowi dużo czasu i nie żałował trudu dla zaznajomienia go z bronią i końmi. Andrzej posiada niezwykłą umiejętność we władaniu rewolwerem i strzelbą, trafia w każdy cel i na każdą odległość, na jaką tylko niesie kulę; potrafi także dosiąść najbliższego konia i zająć go w sposób najwłaściwszy, lecz unika zwady jak ognia, chętnie ustępuje z drogi innym, i stąd ma opinię tchórze. Kacper, przy pomocy fortelu, zmusza Andrzeja do walki. Staje się nieszczęście. Andrzej, wyjęty z pod prawa, ucieka, a za nim gna pościg.

Niezwykła to jest gonitwa. Przestrzenie napozór olbrzymie, napozór mało zaludnione, lecz każdego z mieszkańców nęci wysoka nagroda wyznaczona za głowę zbiega. Każdy mężczyzna, a nawet wyrostek umie tutaj tropić ślady, każdy posiada broń i konia. Na wezwanie szeryfa zgłasza się tłum gorliwych ochotników. Andrzej kluczy jak umie, wywija się pogni. Najniezbędniejszą rzeczą staje się dlań teraz dobry wierzchowiec.

George Owen Baxter musi być sam wielkim amatorem koni i znakomitym jeźdźcem; inaczej nie potrafiłby chyba ująć tak doskonale psychologii konia i jeźdźca. Andrzej Lanning dosiada kolejno kilku wierzchowców. Jest więc najpierw stary srokacz, „same żyły i mięśnie“, wytrwały jak maszyna; jest potem młody kasztanek „o nogach jak z kutego brązu“, na którym z miasteczka gdzie go poznano, zbieg ucieka „niby rudy płomień“. I na zakończenie jest bulana klacz, Sally.

Baxter pisze o niej z taką czułością jak o wierzchowcu, którego by sam dosiadał. Krótko i obrazowo słaży jej niepowodzenie: żelazną wytrzymałość, pewność nóg, potęgę skoku, kocią zręczność na górskiej ścieżynie. Podziwia jej szeroki, niestrudzony kłus, i cwał którym pogoza przestrzeń. Andrzej Lanning ma w Sally nie tylko wspaniałego runaka, ma w niej także wiernego przyjacielea nocą, przy obozowem ognisku. Gdyby nie Sally załamałby się napewno, nie mogąc znieść okrutnej, morderczej poprostu samotności.

Niezwykły jest opis gonitwy pomiędzy Andrzejem Lanningiem z jednej strony, a Hallem Dozierem z drugiej. Dozier, przedstawiciel Prawy, dosiada wspaniałego ogiera imieniem Siwy Piotr. Na przestrzeni stu dwudziestu kilometrów oba wierzchowce waleczą o pierwszeństwo. Sally ma ocalić życie Andrzeja, Siwy Piotr honor swego pana. Tu już wchodzi w grę nie tylko mięśnie; zwycięży ten z koni, który ma dzielniejsze serce, bardziej mężnego ducha. Ambicja pogonia nieraz zwierzę znacznie skuteczniej niż bat lub ostrogi.

Doskonała jest atmosfera tej książki. męzna, krzepiąca. Nabiera się chęci do walki z drobnymi, czy też wielkimi przeciwnościami losu. Nic to, że Andrzej schodzi na manowce, z rozpaczą przystając do bandy zbirów. Umie się w porę zatrzymać i znowu wejść na drogę ucieczki. Pomaga mu w tem dzielczyzna. Jakżeby się bez miłości obeszło, skoro zbieg jest młody i przystojny.

Annę Withero naszkicował Baxter w niewielu tylko fragmentach, lecz wiemy dobrze jaka jest: drobna, rudowłosa, pełna niezachwianej prawości. I nietyle kochanka co matka w stosunku do tego dużego, okrutnie skrzywdzonego przez los chłopaka. Gdy mówi przez łzy: „Jesteś chudy, jak wygłodzony wilk“ — znać w niej troskę prawdziwie matczyną.

Najmniej udane jest zakończenie, pośpieszne i banalne. Można by to niewątpliwie wykreślić jako inaczej, nie zaś iść po linii najmniejszego oporu. Ale co znaczy parę ostatnich stron, wobec pełnej napięcia, barwnej całości? Ci, którzy lubią przygody, i ci, którzy lubią konie, z pewnością z żalem odłożą przeczytaną książkę.

CHINY WSPÓŁCZESNE

PEARL BUCK. *Synowie*. Warszawa 1934. Tow. Wyd. „Rój“.

PEARL BUCK. *Spowiedź Chinki*. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój“.

Czytając powieści pani Pearl Buck, odnosimy wrażenie, że młoda autorka wyrosła sama z tej gliniastej ziemi chińskiej, to palonej słońcem na cegle, to znow zatopionej wodą niby dno stawu. Wrażenie to okazuje się zupełnie słusznym; Pearl Buck, jakkolwiek z pochodzenia Amerykanka, uznała Chiny za drugą swoją ojczyznę. Oto co pisze sama o sobie:

„Jestem córką misjonarza ze stanu Wirginja. Rodzice moi mieszkali w głębi Chin, w miejscowości, w której rzadko spotyka się białego człowieka. Początkowo żyli w tak ciężkich warunkach, że odumarli ich wszystkie dzieci, prócz mnie i najstarszego brata, wywiezionego we wczesnym dzieciństwie do Ameryki“.

I dalej:

„Życie nasze pełne było filmowych przygód. Przetrwaliśmy okres głodu, znaleźliśmy się w ogniu rewolucji, podczas oblężenia miasta przez bandytów, którzy spaliłi niby chmara drapieżnego ptactwa“.

Głód i rewolucja, oto co musiało wyrzec największe wrażenie na wrażliwej autorce. Pierwszej z tych dwu klęsk poświęciła powieść o *Błogosławionej ziemi*, by w powieści *Synowie* zająć się zagadnieniem wojny domowej. Nigdzie chyba sprawa ta nie była i nie jest tak paląca. Pearl Buck nie analizuje jej zresztą, a tem bardziej nie wskazuje jakichś środków zaradczych, lecz z dużą prostotą, nieomal w sposób surowy, odtwarza dzieje jednego z tysięcy, samowolnych generałów chińskich.

Jest nim najmłodszy syn rolnika Wang Lunga i bohaterańskiej O Lan. Podczas gdy z pośród dwu starszych synów jeden poświęcił się kupiectwu, drugi zaś gnuśnieje w bezczynności, Wang, przewany Tygrysem, ukołhał rzemiosło wojenne. Zaczyna od małego, od służby w szeregach jako skromny oficer, lecz niepomahowana ambicja każe mu zdradzić dotychczasowego dowódcę, stworzyć własną siłę zbrojną i iść z nią na podobój prowincji.

Jest to droga żmudna i daleka; cały kraj przedstawia jedną wielką warownię. Tu trzyma w ryzach zrozpaczoną ludność okrutny bandyta, tam, okrutniejszy jeszcze mandaryn łupi ze skóry chłopów i mieszczan. Trzeba zdobywać broń podstępem, przekupywać zwolenników, uciekać się do gróźli i dyplomacji. Wang-Tygrys potrafi jedno i drugie. Dwoi się i troi, nie szczędzi krwi własnej i cudzej, w przekonaniu, że wraz ze sławą i znaczeniem zdobędzie szczęście. Lecz szczęście tem jest dalsze, im więcej się spełnia młodzieńczych marzeń. Co zresztą znaczy złoto, gdy trzeba było zatopić własny miecz w sercu ukochanej kobiety? Druga kobieta, ta która zbudziła pierwszą tęsknotę miłosną w sercu dorastającego chłopca, — Kwiat Gruszy, nalożnica ojca, istnieje jedynie myślą o zmarłym. Syn wreszcie, chluba i nadzieja, okazuje się mazażem, którego rzemiosło wojenne napawa odrazą. Koń pod szkarlatnem siodłem, szabla dobrze wyostrzona, mają dla tego młodzieniaszka znacznie mniejszy urok, niż szumiący lan ryżu.

Pearl Buck chciała zdaje się dowieść, iż szczęście i spokój może jedynie zapewnić praca na roli. Lecz teza ta, zapoczątkowana już w *Błogosławionej ziemi* załamuje się tu i ówdzie. Najszcześniejszym z braci jest niewątpliwie Wang-kupiec, gdyż zdaje sobie odrazu sprawę ze swych pragnień i ze swych możliwości. Wang-Tygrys roi o rzeczach nieuchwytnych, a w pogoni za mającają w oddali sławą zbyt mało poświęca uwagi sprawie bliskim i nierównie ważniejszej. Kończąc się powieść ukazuje go nam wciąż jeszcze w pełni sił męskich, lecz bez trudu wyobrażamy go sobie jako zupełnie starego człowieka, złamanego nietyle w wale z przeciwnościami losu, co z własną marzycielską, nazyłt ambicją, i nigdy nie umiejącą znaleźć zadowolenia natury.

Po *Błogosławionej ziemi*, będącej epopeją chińskiego chłopca, po *Synach* opisujących karierę samowładnego generała, w *Spowiedzi Chinki* mamy dzieje młodej dziewczyny chińskiej, z bogatej, konserwatywnej rodziny, wydanej zamąż za człowieka ze swojej sfery coprawda, ze swego narodu, lecz przenikniętego obcym i niezrozumiałym duchem kultury zachodniej.

Tak się to też w oryginalnej nazywa, „Wiatr wschodni, wiatr zachodni“. Dwa gwałtowne prądy zwalczające się nawzajem. Mała Kwei Lan, zakochana w mężu po uszy, wyrozumiała i cierpliwa, od dzieciństwa trzymana w ryzach przez despotyczną matkę, nie może coprawda, ani też nie chce, przeciwstawić się woli swego pana i władcy. Lecz stara dama patrzy na zięcia z obrzydzeniem. Nie może pojąć, że zamiast długiej, luźnej szaty wyglądającej tak po męsku, nosi spodnie, i w ten sposób upodabnia się do kobiety; że woli mieć żonę o normalnych, dużych stopach, gdy przecie stopy Kwei Lan bandażowało się od maleństwa,

MUZYKA TEATR

KONCERT ORKIESTRY FILHARMONJI BERLIŃSKIEJ

nie zważając na cierpienia jakie znosiła, byle zostały warte i drobne, jak przystało na córkę szlacheckiego rodu. Nie może pojąć wielu innych rzeczy jeszcze, lecz znosi dopust ten w milczeniu, gdyż od setek i tysięcy lat prawo głosi, że kobieta, skoro wejdzie pod dach męzowski, staje się członkiem wyłącznie nowej rodziny, i nawet matka traci do niej wszelkie prawo.

Tragedja zaczyna się na dobre, gdy brat Kwei Lan przywozi sobie z Ameryki białą kobietę za żonę. To już jest straszliwa obraza, rzecz nie do przebaczenia. Uwłaszcza się w ten sposób godności zaprzyjaźnionego domu Li, z którego córka zaręczono brata Kwei Lan jeszcze w wieku dziecięcym. Uwłaszcza się także długiej linii własnych przodków. Stara pani Han walczy zaciekle w obronie tradycji, którą uważa za świętą, i umiera, nie mogąc sama ustąpić, ani też nie mogąc przelamać zdecydowanej woli syna.

Sympatja autorki jest niewątpliwie po stronie prądów zachodnich, mających rozproszyć wschodnie opary ciemnoty i barbarzyństwa. Pearl Buck, zamieszkuje Chinę od dziecka, musiała się nieraz napatrzeć rzeczy okropnych, którym tem chętniej dałaby wiarę, że i u nas, po zapadłych wioskach poleskich, a nawet i pod Warszawą, trafiają się praktyki znachorów dziwnie przypominające Azję.

Lecz prócz obrazów ponurych i melancholijnych, mamy tu wiele momentów wzruszających lirycznych. Jakże miła jest słodka Kwei Lan w swej bezgranicznej czułości dla dziecka, w uwielbieniu dla matki, w całkowitem oddaniu mężowi! Jak zabawne są jej odruchy i refleksje w obliczu zmian, na które się natyka raz poraż! Nie zawsze może jej pojąć, lecz okazuje tyle dobrej woli, taką chęć zrozumienia i dostosowania się do nowych okoliczności, że niewątpliwie autorka chciała dowiedzieć na tym przykładzie, iż jeśli nowoczesny Chińczyk będzie w swej Ojczyźnie pionierem kultury zachodniej, nowoczesna Chinica okaże się dzielną jego sojuzniczką.

Książka Pearl Buck zawiera tyle charakterystycznych rysów obyczajowych, daje tyle doskonałych opisów, tyle informacji, że można z niej zaczerpnąć materiału do stworzenia jeszcze jednej powieści o Chinach. To prawdziwa kopalnia wiadomości dotyczących ustroju, mieszkania, wzajemnego stosunku obu płci.

Mało kto wie zapewne, że w Chinach, zarówno jak w Turcji, kobietom wzbронiony jest wstęp do męskiej części domu, lub też, że Chinica, nawet wobec męża, nie powinna się nigdy ukazywać bosą, jest to bowiem w najwyższym stopniu nieprzyzwoite; to też sypia się tam zawsze w białych skarpetkach. Mówimy oczywiście o sferze ludzi zamoznych.

Izby są obszerne, o podłogach z rudej cegły, o ciężkich, rzeźbionych meblach z hebanu i laki. Przez okna zaklejone ryżowym papierem, sęczy się do środka nikły, złoty blask.

Wyobraźmy sobie filigranową Kwei Lan, w atlasowej szatce koloru brzoskwinia, w modrych, kwieciste haftowanych pantofelkach, umalowaną jak laleczka, ze srebrnymi szpilkami w gładko uczesanych kruczonych włosach. W noc księżycową chryzantemy w cennych, porcelanowych wazach, i lotos przegląda się w stawie. Oczekuje powrotu męża, gdy zaś dojrzy go na ścieżce, nie pyta o nic i nie czyni mu wymówek, lecz wita głęokim ukłonem i słowami:

„O panie mój, czyś zauważył dziś rano jak błysnął świt? Mroczna ziemia ekoczyła jakgdyby na powitanie słońca. Ciemności. Potem snop światła jak akord muzyczny. Najmilszy panie, jestem właśnie tą mroczną ziemią, która czeka“.

Na zakończenie słów parę o przekładach, będących jak wiadomo jedną z bolączek naszego piśmiennictwa. *Spowiedź Chiniki* przetłumaczyła p. Ciechanowiecka, i przetłumaczyła dobrze, nawet z pewnym połotem, a jedynie co można jej zarzucić, to niepotrzebne dzielenie tu i ówdzie jednego zdania oryginału na dwa lub nawet trzy własne zdania. Gorzej wygląda przekład p. Zajczkowski, napuszony, i w tem napuszeniu chwiałami poprostu śmieszny. Oto np. stary Chińczyk, który całe życie spędził na głuchej prowincji, skarżąc się na syna, mówi: „gdy proszę najstarszego, by mi czasem towarzyszył w pole, to ma zawsze właśnie wtedy jakiegoś *rendez-vous* z przyjaciółmi“. Przypadkowo trafił mi do ręki oryginał książki Pearl Buck. Tam, oczywiście, niema mowy o żadnym *rendez-vous*; użyto najprościej słowa *meeting*, czyli spotkanie. Czyż p. Zajczkowskiemu nie przyszło nigdy na myśl, że ów francuski zwrot w ustach żółtoliczego prowincjusza musi każdego czytelnika zdumiewać i razić?

JERZY MARICZ

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

Jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej“: Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9.41.53).

KONCERT ORKIESTRY FILHARMONJI BERLIŃSKIEJ

W środę 22 stycznia odbył się w sali Filharmonji Warszawskiej koncert istotnie nadzwyczajny pod wielu względami. „Solista“ była Orkiestra Filharmoników Berlińskich pod dyrekcją Wilhelma Furtwänglera.

Występ ten, prócz głęokich doznań artystycznych nasuwa mnóstwo refleksyj. Na estradzie, gdzie każdym razem widziało się znane oddawna postaci członków orkiestry warszawskiej — ludzie nowi, nieznanzi. Siłą rzeczy i przed rozpoczęciem, w czasie wykonywania utworów i po koncercie narzucało się porównanie tych zespołów. Nie wiemy, czy ta środa 22 stycznia była dla orkiestry berlińskiej dniem dobrego samopoczucia, dniem takiego napięcia sił, które decydują o zwycięstwie ujarzmieniu wykonywanego dzieła i dają mu całą czystość artystycznego trwania, czy też był to dzień przeciętnej szarej, fachowej pracy. Jakkolwiek sprawa się przedstawia, narzucające się wrażenie każe wyznać, że ogólna wartość i poziom orkiestry berlińskiej przewyższa możliwości zespołu warszawskiego, nawet jeżeli uwzględnimy jego najwyższe osiągnięcia (np. metamorfoza pod batutą B. Waltera w bieżącym sezonie). Co pozwala górować orkiestrze berlińskiej nad jej warszawską „koleżanką“? Składa się na to sporo przyczyn. Przede wszystkim kwestja instrumentów. Muzycy berlińscy mają instrumenty dobre, ograne, wystrojone. Czy to będzie „drzewo“, „blacha“, czy instrumenty smyczkowe, niosą one ton pełny, okrągły jak kropla w strugach ulewnej deszczu. Nie słychać dudnienia, do uszu nie dochodzi przykry chrobot włosia końskiego, trącego się o baranie kiszki. Muzycy warszawscy mają naogół instrumenty znacznie gorsze. Ten powód natury „technicznej“, tak łatwy do usunięcia (sprawić nowe instrumenty) lecz niewykonalny w obecnych warunkach, obniża w obiektywnym bilansie wartość naszej orkiestry. Ten czynnik „siły wyższej“ można by jednak zapisać i na swojego rodzaju plus. Skoro bowiem orkiestra Filharmonji Warszawskiej zdobywa się od czasu do czasu na piękne brzmienie wykonywanych utworów, to jakie miałyby rezultaty w warunkach normalnych? Tu do głosu dochodzi druga przyczyna, oddająca „palnę“ wyższości Filharmonikom Berlińskim. Każdy z nich wykonywał swój głos starannie i dokładnie. Jak nakazuje tekst, bez odchylenia i kaprysów chwilowego humoru. Wiemy jak fantastyczne historie zdarzają się pod tym względem muzykom warszawskim. Autentyczna dokładność wykonania tekstu stanowi podstawę zgrania się całości, decydują o plastyce i wyrazistości wiązań strukturalnych utworu muzycznego, jest tym wkładem „twórczego natchnienia“, jaki niezależnie od pracy dyrygenta, może dać zespół. Orkiestra warszawska, wykonywając sama przed paru laty piątą, jeśli mi pamięć nie myli, symfonję Beethovena, dała dowód dużego zdyscyplinowania i ducha zespołowego. Było to jednak „zdarzenie“, sporadyczny wypadek; w normalnym toku swej pracy nie wykazuje tej dokładności, ofiarnej oddania się dziełu, co zespół berliński. Orkiestra Filharmoników Berlińskich posiada bogatą przeszłość i świetne tradycje. Szkolona od dziesiątków lat przez najwybitniejszych dyrygentów (by wymienić Bülowa i Nikischę), stała się instrumentem światnym i niezawodnym. Wilhelm Furtwängler, który w czasie swej dwudziestoparoletniej kariery zajmował najwyższe placówki muzyczne Niemiec, którego nazwisko zdobyło niejednokrotnie koncerty najpiękniejszych estrad Europy i Ameryki, dał możliwość przeżycia tych wzniosłych wrażeń, jakich dostarczyć może wielki, wszechstronny talent, bogate doświadczenie i subtelna kultura. Wykonane zostały następujące utwory: *Concerto Grosso* Händla, III-cia symfonia Brahmsa, wstęp do *Śpiewaków Norymberskich* Wagnera i VII symfonia Beethovena. Jak każda wybitna indywidualność, ma W. Furtwängler swój własny, niepowtarzalny styl. Wysoka sylweta artysty technię szlachetną naturalnością, ruchy oprowadane, proste, łatwe, ale władce i sugestywne nie drażnią słuchacza, przeciwnie pociągają, niespostrzeżalnie poczynają czynować. Postać dyrygenta staje się jakby programem, który przekraczamy i zanurzamy się w płynny strumień muzyki. Rozkwitająca struktura utworów, dostrzegalna w każdym swym szczególe, nabiera oczywistej, nieodpartej logiki, utwory, tylokrotnie słyszane, nabierają nowych, świeżych, nieprzeczuwanych barw.

Koncert orkiestry Filharmoników Berlińskich pod batutą Wilhelma Furtwänglera był zdarzeniem nadzwyczajnym; w duszach słuchaczy pozostał niezatarte wspomnienie i nadzieję, że przykład tak świetnego wzoru pobudzi naszych muzyków do szlachetnej rywalizacji w służbie piękna i sztuki.

ST. FURMANIK

TEATR MALICKIEJ: *Trafika pani generalowej*, komedia Bus-Feketego, z węgierskiego.

W porównaniu ze sławnymi, niedawno u nas granymi *Urodzinami* tego Węgry, *Trafika* jest zreczniejsza i weselsza. *Clou* jej są sceny, w których dziewczyna, aby zdobyć ukochanego, wchodzi do jaskini lwa, t. j. jego pokoju kawalerskiego, naraża się, sama go zaczepia, mówi bezeceństwa, a wszystko to robi naiwnie i uroczym. Ulubiony to motyw dzisiejszych czasów, a prztem — ze strony mężczyzny — wygodny i perwersyjny: Niech one nas zaczepiają! Dowcip w *Trafice* jest przedniego gatunku, bo wynika z sytuacji, nie jest przylepianym powiedzonkami zewnątrz. — Gra Malicka. Słuchając jej, zawsze staram się zdać sobie sprawę, skąd się bierze ten osobliwy wdzięk w jej dykcji. Otóż myślę: jej ton ma w sobie coś jakby wciąż przeproszającego, przejednawczego. Gdy mówi, przeciągając niektóre sylaby, to tak jakby chciała powiedzieć: no, przecież tak, nie gniewaj się. — Na bardzo sympatycznego amanta wyrobił się K. Benda.

K. I.

PRZEGLĄD PRASY

BURZA W SZKLANCE WODY. Z powodu kilku kolend, umieszczonych w gwiazdkowym numerze *Kurjera Porannego*, niektóre dzienniki zaatakowały Ilakowiczównę, zarzucając jej bluźnierstwo. Co więcej, podobno nawet jakiś gorliwy ksiądz z ambony gromił ją za ateizm, a jakiś związek katolicki uchwalił rezolucję przeciw poetce. Nie uwzględniono, że forma kolendy pozwala na bardzo ryzykowne nieraz pod względem religijnym sformułowania, bo zgóry wiadomo, że nie należy ich dosłownie rozumieć, lecz traktować raczej humorystycznie. Ileż kolend, gdyby nie brać tego momentu pod uwagę, musieliśmy odrzucić, jako że pozornie są bluźnierstwami. Nie zwrócono również uwagi na fakt, że trudno imputować Ilakowiczównie — jedynej ścisłe katolickiej poetce — świadomy zamiar wyszydzenia, czy zohydzenia wierzeń katolickich. Można było jej ostatecznie, jeśli kolendy raziły czyjś smak estetyczny czy uczucia religijne, zwrócić uwagę na niewłaściwość tego lub owego obrazu w kolendach, ale chyba nie było powodu do oburzenia, tem więcej zaś do zarzutów bluźnierstwa i t. p. Fakt cały jest właściwie dość drobny, ale niemniej charakterystyczny dla „ducha zakrystji“, który jeszcze panuje w naszej opinii katolickiej.

O „DUCHU ZAKRYSTJI“. W nr. 1 *Buntu Młodych* p. Jan Frankowski, jeden z najinteligentniejszych publicystów katolickich, w artykule „Sprawa Lechickiego i Zegadłowicza“ zajmuje się „duchem zakrystji“ w krytyce katolickiej. Frankowski, opierając się na książce Calveta, charakteryzuje w następujący sposób „ducha zakrystji“: „Duch zakrystji jest potrzebny w zakrystji i zasługuje na pełny szacunek, hyle z niej nie wychodził. Zastosowany do książki, jest śmieszny i pożałowania godny... Gdy się zjawia dzieło szersze i lotniejsze, albo mocniejsze i głębsze w nauce, albo napisane w tonie swobodniejszym i radośniejszym, powstaje zgorznienie... Duch zakrystji prowadzi do niesprawiedliwości“. Frankowski ostrzega katolików przed duchem zakrystji, uważając, że wskutek niego Kościół traci bardzo często wybitniejsze indywidualności, które nie mogą wytrzymać w dusznym koju t. zw. opinii katolickiej. Jesteśmy ciekawi, czy p. Frankowski, kierujący się w artykule swoim względem na dobro Kościoła, nie zostanie także przez „ducha zakrystji“ opacznie rozumiany.

CZYŻBY CENZURA PRYWATNEGO BIURA KOLPORTERSKIEGO? W tym samym numerze *Buntu Młodych* pisze wydawnictwo: „Towarzystwo „Ruch“, posiadające wyłączny monopol na kolportaż dzienników odmówiło nam współpracy. Nie uzyskaliśmy też pozwolenia na sprzedaż *Buntu Młodych* w kioskach „Ruchu“ (jedynych!!!) w Warszawie. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, że „Ruch“ współdziała w kolportażu różnego typu antypaństwowych i antipolskich pismek, *Buntu Młodych* jednak rozprzestrzeniać (powinno być: rozpowszechniać) nie wolno“. Jest sprawą w istocie bardzo interesującą, jakeimi motywami kierował się „Ruch“ w odmówieniu współpracy *Buntowi Młodych*. Należałoby oczekiwać wytłumaczenia „Ruchu“.

KONKURS „NOWEJ WSI“. Redakcja *Nowej Wsi* urządziła konkurs na reportaże, nowelę i korespondencję. Rezultat pod względem ilościowym nienajgorszy — 32 prace 32 autorów. Czuchnowski pisze o tych pracach: „Tak ogromny plon konkursu i

prawie na jednym, wysokim stojący poziomie.. świadczy o wielkiej sile pisarskiego daru czołowych synów klasy pracującej. Literatura konkursu — to zdrowy, jedyny owoc talentów pracujących chłopów... literatura ta — to kwiat klasy pracującej“. Niestety prace, wydrukowane w nr. 8 pisma nie potwierdzają entuzjastycznej oceny Czuchnowskiego. Oczywiście należy uwzględnić, że pisarzami są najczęściej chłopcy o bardzo małym wykształceniu szkolnym, niemniej trudno się dopatrzeć w próbkach, podanych w piśmie utworów, świadczących o zdolnościach artystycznych. Również pod względem wartości tych prac jako materiału surowego, przedstawiającego obyczajowość i psychikę chłopską, niewiele da się powiedzieć. Naogół prawie wszystkie prace grzeszą szablonością. Interesujący pomysł, naśladowniczo zresztą metod sowieckich, nie wydał zbyt pomyślnego rezultatu. (Pod jednym względem przedstawia się literatura tych nieznanych pisarzy bogato, zbyt bogato: pełno szablonowych „krwiopijców“, rewolucyj, strejków i t. p. Chyba to jednak w oczach rozsądnego komunisty nie podnosi jej wartości).

WIELKA LITERATURA DLA MAŁYCH.

W styczniowym numerze *Skamandra* charakteryzuje literaturę sowiecką dla dzieci Fr. R. Siedlecki. Autor zwraca uwagę na troskę władz sowieckich o pozami i zgodność z postulatami komunistycznego poglądu na świat książek dla dzieci, na wysokie walory artystyczne i ideowe tej literatury, wreszcie na fakt jej ogromnej popularności w Z. S. R. R. Według zdania Siedleckiego Rosja sowiecka stworzyła nowy typ arcydzieł-książek dla dzieci. Artykuł Siedleckiego powinien zainteresować tak wydawców jak i polskich pisarzy. Zastanawiający jest fakt, dlaczego nie tłumaczy się tej literatury na język polski. Przecież trudno przypuścić, żeby w każdej książce sowieckiej występowały tak wyraźne tendencje czysto i ściśle polityczne, żeby nie można ich było ze względu na cenzurę wydawać w Polsce. Przypuszczamy, że należałoby istotnie arcydzieła tłumaczyć tak jak Sowiety tłumaczy Kiplinga i t. p. bez względu na to, że nie są to autorzy komunistyczni.

W. BAK

KRONIKA

ZEGAR Z KUKUŁKĄ

Dość dziwna sprawa była niedawno przedmiotem rozważania sądowego. Według relacji kronikarskiej *Kurjera Warszawskiego* odbył się mianowicie następujący proces cywilny. Dr. praw Zygmunt T. wystąpił z powództwem przeciwko właścicielom domu przy ul. Miedzianej o nieogładne zastawienie chodnika drabiną. Dozorca domu, chcąc ostrzec przed grożącym spadnięciem gzymsu, ogroził przejście, drabina nie była jednak opatrzona sygnałem świetlnym i przechodzący wieczorem prawnik przewrócił się. Niósł zabytkowy zegar ścienny z kukułką. Mechanizm się zepsuł. Dr. T. żądał za reparację zegara 15 zł. Pozwani nie chcieli uiszczyć pretensji, twierdząc, że winę ponosi dozorca domu, który miał obowiązek oświetlić drabinę. Sąd zasądził odszkodowanie za naprawę zegara z kukułką.

Poszkodowanym jest, jak widzimy, prawnik z tytułem uniwersyteckim, żeby już nie mówić o krzywdzie zegara i kukułki. Prawnika jest zazwyczaj ostatnim z ludzi, którzy lekkomyślnie wyczynają procesy, możemy więc przyjąć za rzecz pewną, że p. T. uważał pomyślny wyrok sądowy za przesądzone. Nie pomylił się nawet w adresie odpowiedzialnych pozwanych, nie niepokoił niepotrzebnie dozorcę domu. Tak wygląda jeden aspekt tej sprawy.

Inną charakterystyczną jej stroną jest stosunkowo nikła pretensja pieniężna nawet na dzisiejsze ciężkie czasy, zwłaszcza że właściciel zabytkowego zegara z kukułką może uchodzić i z tytułu swojego stanowiska społecznego i jako amator zabytkowych przedmiotów za człowieka jako tako sytuowanego, dla którego kwota 15 złotych musi się równać poważnej conajmniej stracie czasu i, jak to zwykle bywa w sądach, spokoju nerwów.

Poszkodowanym prawnik jest zatem albo człowiekiem bezwzględnie upartym, nie będącym przytem pieniactwem (działal przeciwnie na pewniaka), albo lubi obok antyków igraszki sądowe, albo — to właśnie byłoby najciekawsze — jest nieczystym w Polsce reprezentantem realizmu życiowego. Właściciele kamienicy wiedzą, że oberwanie się gzymsu grozi poważnymi konsekwencjami moralnymi i materialnymi, zabezpieczając więc przejście kolo domu, unikają nieporozumień z władzami. Gdy jednak idzie o wypłacenie 15 złotych, stają się mistykami. Liczą na to, że o tak małą kwotę nie będzie robił hałasu, konflikt z prawnikiem powinien się, w ich mniemaniu, rozjeść po kościach, nie jest już wykluczone, że w ca-

ex. 12 442/4/5

lej tej sprawie dopatrzili się momentu wesele...

Dr. T. natomiast odniósł się do całej sprawy z należytą powagą...

Posiadać zegara z kukulką ma coś z symbolu, wyobrażającego romantyzm i poezję...

We wszystkich dziedzinach życia grożą nam potknięcia, zwłaszcza gdy usiłujemy uniknąć spadających gzymsów...

Pan dr. T., prawnik i posiadacz cennego zegara z kukulką, uzyskał zadośćuczynienie nie tylko za swoją krzywdę.

STANISŁAW ROGOŹ

*

OGÓLNOPOLSKA AKCJA ZBIÓRKI NA FUNDUSZ UCZCZENIA PAMIĘCI MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Dla jednolitego i najbardziej skutecznego przeprowadzenia akcji zbiórkowej na terenie Rzeczypospolitej na rzecz Funduszu dla Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego...

Komitety wojewódzkie współpracować będą w bezpośrednim kontakcie z sekcją finansową Naczelnego Komitetu...

PRAGNIENIE SERC NARÓD W HOŁDZIE PAMIĘCI WODZA

Pragnienie uczczenia pamięci Józefa Piłsudskiego i przekazanie tej pamięci przyszłym pokoleniom tkwi głęboko w sercach narodu.

Na tem tle wyraźnie rysuje się wielkie zadanie, jakie stoi przed Naczelnym Komitetem Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego...

silków całego społeczeństwa w jedno ognisko realnego czynu, oraz skoncentrowania pragnień uczczenia Józefa Piłsudskiego na dziełach, godnych Jego Imienia i zdolnych przetrwać wieki.

Na Sowińcu pod Krakowem rośnie kopic Marszałka, w Warszawie wybudowany zostanie pomnik Józefa Piłsudskiego...

Niedość na tem. Istnieje na ziemiach

polskich kilka tysięcy punktów, ściśle związanych z pracą Marszałka. Te punkty — pola bitew zwycięskich, chaty, w których kwaterował i t. p. — zostaną utrwalone.

Każdy Polak, chociaż w drobnej części, chce się przyczynić do uczczenia pamięci Marszałka. Uczynić to może, składając choćby kilkugroszową ofiarę na Fundusz Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Naczelny Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego wydał niedawno szczegółową instrukcję zbiórki na swoje cele i rozesłał listy składkowe do wszystkich urzędów, oraz instytucji i zakładów...

Tu zaznaczyć należy, że w ostatnich czasach puszczono w obieg cały szereg wydawnictw, albumów, pseudo dzieł sztuki...

Obywatele muszą być poinformowani, że jedynym organem, powołanym przez Pana Prezydenta z pośród całego społeczeństwa polskiego dla uczczenia pamięci Marszałka...

Pamiętając o tem, niech każdy — wedle indywidualnych możliwości — przyczyni się do podjętej przez Naczelny Komitet pracy.

Nie wszystkie jeszcze województwa, nie wszystkie ziemie Rzeczypospolitej zdołały zorganizować Komitety Wojewódzkie.

KABE

Odpowiedzi Redakcji

- Z. G. w Katowicach. — Artykułu Młodzież a prasa codzienna nie zamieszcimy. St. Wer... — Wiersz Czy w proch się rozsypie nie będzie drukowany. K. P. w Warszawie. — Z noweli Baśń Święteczna nie skorzystamy. Rękopis do odebrania w Administracji. Z. M. w Dubnie. — Z łaskawie nadesłanego nam artykułu p. t. O kulturę społeczną nie skorzystamy. U. b. J. b. w Jabłonowie. — Utworu p. t. Wigilia w Nawziu drukować nie będziemy. M. N. w Krakowie. — Z artykułu o krytyce radiowej nie skorzystamy. F. J. we Lwowie. — Uwag WPana na temat „44” nie zużytkujemy.



DEKLARACJA. Nizej podpisani, urzędnicy pracownicy... odpowiadając na apel NACZELNEGO KOMITETU UCZCZENIA PAMIĘCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO...

LISTA SKŁADEK. NACZELNY KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO. OBYWATEL... Zgodnie z potrzebą...

Kupon A. Lista № 000000. Kupon B. do ewidencji. Lista wydana...

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ. Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI. Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.